Nr. 45. Poznań, Niedziela, dnia 9-go Listopada 1902 r. Rok VI.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ul. Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Polska wystawa w Poznaniu.

Jeżli więc zapał nie spali się na panewce, jeżeli inicyatorom dopisze wytrwałość, będziemy mieli niezadługo *polską wystawę prowincyonalną w Poznaniu.* Uchwała taka zapadła przed dwoma tygodniami na zebraniu delegatów Towarzystw przemysłowych i kupieckich w Poznaniu, które odbyło się z inicyatywy Towarzystwa przemysłowego pod przewodnictwem jego prezesa, pana Józefa Kużaja.

Uchwałę tę witamy z najszczerszem zadowoleniem, z prawdziwą radością. W położeniu jak nasze, wśród powodzi wrogów i przeciwieństw, tylko ciągły ruch, ciągły postęp ocalić nas może przed zagładą. Każdy zastój, każda przerwa w pracy, chwilowa chociaż bezczynność i gnuśność stanowi wielkie niebezpieczeństwo, równa się cofnięciu i porażce. Odnosi się to zaś w pierwszym rzędzie do naszego handlu i przemysłu, bo te dwie gałęzie zarobkowania naszego najbardziej są zagrożone, bo na nich skupia się dziś złość i nienawiść wrogów.

Wystawa taka jest potrzebną i to *bardzo* potrzebną. Musimy koniecznie przekonać się naocznie, czegośmy się nauczyli, co zrobić musimy i czego nam jeszcze nie dostaje. Musimy przedstawić sobie jasny i przejrzysty bilans naszej pracy i naszych postępów z ostatnich dziesiątków lat. Inaczej dalej kroczyć będziemy po omacku — w ciemności. Musimy dalej unaocznić ogółowi naszemu, co wszystko u swoich nabywać może. Inaczej słabe duchy zawsze będą ciągnęły ku obcym, w obce ręce oddawały pieniądz polski, a zawsze uniewinniać się będą mogły tem, że *„nie wiedzą"*, czy u swoich tak samo dobrze pokryć mogą swe zapotrzebowanie. Dla jedynie racyonalnej zasady ratunkowej w naszem położeniu: *„swój do swego"* nie ma lepszego poparcia, jak urządzenie polskiej wystawy.

Godzimy się też na to zupełnie, że wystawa ma mieć charakter *prowincyonalny.* Z idealnego, narodowego stanowiska sądząc, byłoby pożądanem, ażeby dano nam obraz przemysłowo-rolniczej wydajności i siły *całego* ogółu polskiego w zaborze pruskim. Byłby to bilans wielkiej doniosłości polityczno-narodowej. *Z praktycznych* atoli względów zalecać tego nie można. Żywioł polski w zaborze pruskim rozrzucony jest na zbyt wielkiej przestrzeni, iżby wystawa w Poznaniu wszystkim jego częściom równą przynieść mogła korzyść. Nie można wymagać, ażeby publiczność poznańska zwykła swe *codzienne* potrzeby zaspakajała ewentualnie u rodaków w Prusach Zachodnich i na Śląsku oraz na odwrót. Możliwe to tylko u niewielkiej ilości produktów, a tych z innych dzielnic zapewne nie odrzuci wystawa poznańska, jeżli zgłoszone zostaną. Ale uogólniać tego nie można. Niechże Prusy Zachodnie urządzą taką samą wystawę w Chełmnie, Toruniu lub Grudziądzu. Na tem lepiej wyjdą niż na ogólnym udziale w wystawie poznańskiej.

Godzimy się dalej na to, ażeby wystawa obejmowała także rolnictwo, płody ziemne. Mówi się przecież u nas, że rolnictwo to najważniejsza gałąź produkcyi naszej i tak też jest w istocie. Rolnictwo nasze ma się czem pokazać, i to nietylko wielkie gospodarstwo, ale i małe. Co za pyszne okazy płodów polnych i ogrodowych widujemy nieraz na wystawach Kółek włościańskich! Nie mniejsze postępy poczynili gospodarze nasi w hodowli bydła. Jeżli zaś dążymy do tego, ażeby zasada: *swój do swego* stała się niejako dogmatem ekonomicznym dla nas, to nie wolno nam ograniczać jej jedynie na popieranie handlu i przemysłu naszego przez ogół, ale należy roz-

ciągnąć ją na *wszystkie* gałęzie gospodarstwa naszego, a więc także na rolnictwo. A właśnie na tym punkcie najmniej dbaliśmy dotychczas o wzajemne popieranie się ekonomiczne. Nasi panowie rzeźnicy naprzykład narzekali, że rodacy od nich nie kupują, sami atoli również przy nabywaniu „towaru" żywego nie zważali na narodowość sprzedających. I nieraz niemieckiemu producentowi płacili wysokie ceny, podczas gdy Polak czekać musiał, aż mu żydzi lub Niemcy za pół darmo odbiorą towar. Pod tym względem także nastąpić musi zmiana. Gdy nas na każdem polu bojkotują, gdy nawet komisya kolonizacyjna za pomocą rozmaitych Spółek ułatwia zbyt produktów rolnych gospodarzom Niemcom, my starać się musimy o to, ażeby i rodacy nasi na wsi mieli zbyt zapewniony, nam w takiem położeniu także wolno jeść tylko *polskie* mięso, *polskie* zboże, *polskie* nabiały, owoce i warzywa. Niech o tem pamiętają także handlarze wiktuałów i polscy *restauratorsy*. Więc już z tego powodu zaleca się wprost rozciągnięcie wystawy także na płody rolnicze. Nasi rzeźnicy, handlarze i restauratorzy nie będą już potem mogli tłomaczyć się, że przedniego towaru u swoich nie dostaną, bo wystawa wykaże coś zupełnie przeciwnego. Nadto wytworzy się przez to albo wzmocni kontakt między wsią a miastem, który nie zawsze jeszcze należycie dopisuje.

Ze wszystkich tych przyczyn myśl urządzenia wystawy uważać trzeba za bardzo dobrą i życzyć tylko, ażeby przeprowadzono ją i wykonano z energią i takim samym zapałem, z jakim ją przyjęto. Kładziemy na to życzenie szczególny nacisk, ponieważ dotychczas właśnie pod tym względem nie wiele zdziałaliśmy, nie okazaliśmy większej odwagi i przedsiębiorczości. Ostatnia specyalnie polska wystawa przemysłowo-rolnicza odbyła się u nas przed *50 laty*. Udział nasz w wystawie niemieckiej w Poznaniu przed 7 laty urządzonej nie był znacznym, czemu się wobec tendencyi owej wystawy wcale dziwić nie można. Potem przed pięciu laty powzięto myśl urządzenia wystawy przemysłowej rozwijającego się wówczas bujnie *Inowrocławia*. Miała to być *kujawska* wystawa okręgowa. Jakże smutnie atoli myśl ta zmarniała! Na marne poszła cała mozolna kilkomiesięczna praca ówczesnego redaktora „Dziennika Kujawskiego" *I. K. Maćkowskiego* oraz posła *dr. Krzymińskiego*, którzy wraz z komitetem przemysłowców opracowali już cały program wystawy. Nawet część funduszu gwarancyjnego była zebrana. Nagle jakiś zły duch podsunął przemysłowcom tamtejszym obawę, że przez taką wystawę polską *zraża sobie.... odbiorców Niemców*. Zaraz tedy wbrew woli wymienionych kierowników rozpoczęto układy z przemysłowcami niemieckimi, ażeby również wzięli udział w wystawie ze zupełnem równouprawnieniem obu narodowości i języków. A cóż się stało? Niemcy podburzeni przez hakatę, odrzucili tę propozycyę i odpowiedzieli: albo wystawa będzie *niemiecką*, albo my w niej udziału nie weźmiemy, a „Kuj. Bote" z furyą napadł ma „uroszczenia polskie." To zamiast dodać bodźca Polakom tamtejszym do samodzielnego działania, bardziej jeszcze osłabiło ich ducha. Nic dziwnego! Drgały przecież jeszcze ostatnie powiewy nieszczęsnej *polityki ugodowej*. Odstąpiono więc w połowie drogi od zamiaru ku ogromnej uciesze Niemców. A z jakim skutkiem? Hakata mimo to dalej odbierała polskim kupcom i przemysłowcom niemieckich odbiorców, polscy zaś, nie wiedząc nieraz, gdzie szukać wytworów polskiego przemysłu, dalej kupują u Niemców i żydów. Świeżo znów w „Dzienniku Kuj." napotkaliśmy gorzkie skargi na to; lecz czyż mają prawo skarżyć się na obojętność rodaków ludzie, którzy sami nie mieli odwagi w imię dobra narodowego urządzić *polskiej* wystawy swych wyrobów?

Przypominamy to wszystko ku przestrodze, oraz na dowód, że „tchórzenie" i płaszczenie się przed Niemcami nic nam nie pomoże, że zbawienie nasze jedynie w otwartej, jędrnej polityce narodowej na wszystkich polach, a więc w handlu i przemyśle. Wierzymy, że inicyatorzy wystawy poznańskiej śmielszym ożywieni są duchem niż ówcześni przemysłowcy inowrocławscy, ale przypomnienie dawnych błędów także im nie zaszkodzi. Trudno! Gdy Niemcy gwałtem prą nas ku temu, ażebyśmy tworzyli w obrębie państwa pruskiego zupełnie *odrębne*, samodzielne społeczeństwo, musimy stać się takiem, inaczej złamią nas i zniszczą. Musimy więc ograniczyć się zupełnie na własnych kołach, produkować dla siebie, konsumować tylko co własne, aby na obce ani grosza nie uronić. Do tego najlepszym środkiem będą wystawy, bo ułatwią nam wzajemne poznanie się i zbliżenie oraz uregulowanie produkcyi i konsumcyi we własnem łonie. Niechże ten cel osięgnie także projektowana wystawa poznańska. Myśl jest i to dobra; dalej więc *do czynu!*

Narodowiec.

Wybory do rad miejskich.

Baczność Rodacy! W wielu miastach i miasteczkach naszych odbędą się w ciągu listopada *wybory do rad miejskich*. Ważna to sprawa, niemniej ważna, jak wybory do sejmu lub parlamentu. Chodzi tu przecież o bezpośrednie, że się tak wyrazimy *domowe* nasze dobro. Od rad miejskich zależy w niemałej mierze gospodarka miejska, a więc przedewszystkiem *wysokość podatków komunalnych*, rozmaite budowle i dostawy dla miasta, obsadzanie wielu urzędów miejskich i t. p. sprawy, wywierające znaczny wpływ na nasz *dobrobyt*. Niechże więc ci obywatele, którzy posiadają prawo wyborcze miejskie, sumiennie wypełnią swój obowiązek i jak jeden mąż staną u urny wyborczej. Nikomu nie wolno pod jakimkolwiek pretekstem pozostać w domu, a już hańba wieczysta temu, kto odda swój głos na obcego, na wroga. Trzeba się wszelkiemi sposobami

starać o to, aby w radach miejskich zasiadało możliwie najwięcej Polaków, gdyż inaczej, bez wszelkiej kontroli z naszej strony, różni urzędowi i nieurzędowi hakatyści zaczną nawet naszym groszem, funduszami miejskiemi obracać i gospodarować na swoją korzyść, a naszą zgubę. Stać więc twardo, a przy wyborach walczyć do upadłego.

Wybory do rady gminnej odbędą się w roku bieżącym także w *Poznaniu* i to w dniach *20, 21 i 22 listopada.* Miejski komitet wyborczy już rozpoczął agitacyą, zwołuje zebrania, nawoływa i poucza.

Jedno z zebrań wyborczych odbyło się w *Jeżycach* na sali p. *Wendlanda.* Obrady zagaił prezes komitetu i radny miejski p. dr. Kożuszkiewicz dłuższym poglądem na sprawy miejskie i na upośledzenie Polaków w administracyi wskutek zbyt szczupłej liczby polskich radnych.

Następnie jeden z mówców wykazywał konieczność żywego udziału we wyborach. Poznań — wywodził — ma 117,000 mieszkańców, i to 6000 żydów, 41,000 Niemców, a *70,000 Polaków.* My tymczasem mamy tylko 11 reprezentantów w Radzie miejskiej, a Niemcy i żydzi mają 49. 6000 żydów ma 26 radnych, Niemcy mają 23. Nie powinniśmy pominąć żadnej sposobności, aby powiększyć liczbę naszych radnych.

Miasto, które ma 100,000 mieszkańców, ma mieć 60 radnych, i to z każdej klasy 20. W Poznaniu 200 ludzi wybiera w I klasie 20 radnych. Z tych 200 wyborców jest 120 żydów, około 50 Niemców i około 30 Polaków. W pierwszej klasie przeto Polacy nie mogą zwyciężyć. W drugiej klasie jest około 1000 wyborców, — między nimi tylko 240 Polaków, — więc i druga klasa dla Polaków jest stracona. W trzeciej klasie jest 1200 wyborców, między nimi około 500 Polaków. *Gdyby wszyscy Polacy płacili podatek komunalny przynajmniej od 4 marek podatku dochodowego, natenczas w trzeciej klasie możnaby wybrać samych Polaków.* Powinnibyśmy przeto mieć w Radzie miejskiej 20 reprezentantów. Ale komisya podatkowa wielu Polaków zwalnia od podatku, nawet takich, którzyby chętnie podatek płacili. Z okręgu wyborczego, obejmującego Stary Rynek, było zapisanych 630 Polaków, a 760 Niemców i żydów; 900 Polaków tam mieszkających nie było zapisanych. *Atoli 70 Polaków z tego okręgu dobrowolnie spowodowało zapisanie ich do podatku dochodowego, wynoszącego 4 marki, i do odnośnego procentu podatku komunalnego.* Wszyscy po podaniu odnośnego wniosku byli zawezwani na termin przed komisyą podatkową. Badano ich, czemu chcą płacić podatek. Odpowiedzieli, że dla tego chcą płacić, aby mieli prawo do głosowania. Usiłowano ich odwieść od tego zamiaru, ale nadaremnie. *Obywatele uświadomieni chętnie płacą podatek i ponoszą tę ofiarę, aby módz brać udział w wyborach.*

Dalej wskazał mówca na potrzebę agitacyi. Druga strona nie zaśpi sprawy. Tylko wtenczas możemy zwyciężyć ,gdy każdy wyborca spełni swój obowiązek. Jeżeli nie zaznaczy się u nas postęp w sprawie wyborów radnych miasta, natenczas stracimy nawet i tych radnych, których mamy dotychczas.

Podobnie jak w Poznaniu dzieje się w wielu innych miastach. Wszędzie też przy ruchliwej agitacyi i należytem pojmowaniu obowiązków obywatelskich moglibyśmy mieć radnych własnych *więcej.* Niechże więc te wybory okażą, że umiemy strzedz swego dobra!!

Czujny.

Przekleństwo hyper-lojalizmu.

W „Bibliotece Raczyńskich,“ tej wspaniałej naszej książnicy wielkopolskiej — jeżli w ostatniej chwili nie zajdzie cud jaki, rządzić będzie odtąd bibliotekarz Niemiec, prof. *Kolmann* z Hesyi, wybrany przez kolegia nauczycielskie gimnazyów poznańskich, a zamianowany przez kuratoryum — wbrew wyraźnym przepisom statutu fundacyjnego. Statut ten opiewa wyraźnie, że urzędnikami przy bibliotece, mianowicie bibliotekarzami mogą być tylko *krajowcy,* a więc urodzeni w W. Księstwie Poznańskiem, władający poprawnie i płynnie językiem polskim. Pan Kollmann tymczasem nie urodził się w Księstwie, ani po polsku nie umie tak, jak tego statut wymaga. Rząd jednakże zatwierdził wybór jego — mimo, że nie brakło kandydatów Polaków, którzy posiadali wszelkie przepisane statutem na urząd ten kwalifikacye.

Straciliśmy więc znów jednę pozycyą, jedno ważne stanowisko. Niektóre organa prasy naszej uderzają z powodu tego na alarm i wzywają, ażeby sprawę tę wytoczono przed *sądy* pruskie, jako pogwałcenie wyraźnej woli fundatora Biblioteki, wypowiedzianej w statucie. Słuszna to rada. Pytanie tylko, kto ma sprawę tę wytoczyć? Kuratoryum samo tu zawiniło, więc nie może siebie samego oskarżać. Mógłby to uczynić jedynie potomek fundatora, hr. Raczyński na Rogalinie, ale czy zechce? Obiegają przecież pogłoski, że nie zaszło tu pogwałcenie statutu, ponieważ statut ten *zmieniono już poprzednio* tak,iż nominacya prof. Kollmanna stała się prawnie możliwa, a zmieniono go *za zezwoleniem potomka fundatora.* Jeżli pogłoska ta prawdziwa, to Biblioteka Raczyńskich stracona dla nas na zawsze. Pod niemieckiemi rządami nie będzie kupowała polskich książek — stanie się rozsadnikiem wyłącznie niemieckiej wiedzy i nauki.

Nie pierwsza to strata tego rodzaju. Ile to już zabrano nam polskich fundacyi, z ilu ogolocono nas skarbów i dziedzictw po ojcach! Wspomnimy tu tylko o zakładzie Garczyńskich na Wildzie, jako stracie świeżej daty. Straty to bolesne, niestety, nie mamy jednakże chwilowo sposobu upomnieć się o nie, zmusić rządu do zwrotu tego, co nam zabrano.

Lecz najboleśniejsze to, że są one wynikiem naszej własnej winy, owocem własnej naszej łatwowierności, *polskiego hyperlojalizmu.* Hyperlojalizmem takim, czyli przesadnym lojalizmem odznaczał się także twórca „Biblioteki“, wspaniałomyślny, wielkoduszny i szlachetny hr. Edward Raczyński. Była to jedyna może jego *słaba* strona i oto jak srogo się pomściła.! Sądził on, że do dzieła stworzonego hojnością polskiego mandata, mają prawo wszyscy rodowici krajowcy Wkiego Księstwa Poznańskiego bez względu na narodowość, więc napisał w statucie, że bibliotekarzem ma być *krajowiec,* a nie — wyraźnie *Polak.* Zamiast zaś fundacyi nadać formę taką, ażeby właścicielem jej był zawsze *ogół polski* — on oddał ją pod opiekę *władz pruskich* — i swych potomków. Widocznie nie przypuszczał, iż wszyscy Niemcy w Księstwie staną się wrogami Polaków, że Prusacy targną się kiedyś na najświętsze dobra narodu, że ogołocą go ze wszelkich praw, że nawet kolegia gimnazyów poznańskich będą nawskroś niemieckie. Nie spodziewał się też zapewne, że pomiędzy potomkami jego, rodziną Raczyńskich a narodem, dla którego jego serce tak żywo biło — ustanie, przerwie się kontakt ściślejszy. Tymczasem stało się wszystko, czego nie przypuszczał i nie przewidywał — i dziś wspaniałe dzieło jego zupełnie może stracone będzie dla narodu.....

Gorzka to przestroga, lecz niestety już spóźniona. A jednak, może jeszcze zaważy na szali dalszego postępowania naszego, zarówno ogółu,

jak i jednostek. Przecież dopiero kilka lat temu przebyliśmy podobny paroksyzm hyperlojalizmu...

Nie ulega wątpliwości, że nie mielibyśmy już ani Bazaru w Poznaniu, ani „Tow. Pomocy naukowej,“ gdyby twórcy tych instytucyi byli w jakikolwiek sposób oddali je pod nadzór, „pod opiekę“ Prusaków. Snać atoli, jaśniej widzieli, rozważniej patrzeli w przyszłość, niż szlachetny, a zbyt dobroduszny twórca „Biblioteki Raczyńskich.“

W oczach Prusaków nic nie znaczą ani traktaty kongresowe, ani przyrzeczenia królów pruskich, ani statuty fundacyjne — gdy chodzi o Polaków. Zatem Polak, który cośkolwiek oddaje pod „opiekę“ Prusaków, *tem samem zatraca to dla rodaków swoich.*

Nie ma pewnie na świecie narodu, któryby takie stanowisko zajmować musiał wobec rządzącej nim władzy, jak naród polski w Prusach. Wartoby też wytoczyć to — przed forum Europy.

Spóźniona to przestroga — ta strata Biblioteki Raczyńskich, ale może jeszcze przydać się na coś. Przedewszystkiem niech zapiszą ją sobie w pamięci *wielkie rody nasze.* Nie mogą dziś bowiem przewidzieć, co się stanie z ich potomkami.

Żyjemy w wiecznej wojnie, w wojnie narzuconej nam przez system pruski — i z tem liczyć się musimy.

A chwalmy Boga, że rychło wyrwał nas ze szponów — *polityki ugodowej!!*

Vester.

Apostół prawdy.

Najsmutniejszą stroną walki polskiego ludu na Slązku o prawa narodowe jest ta okoliczność, że ma on w tej walce przeciwko sobie także ogromną większość duchowieństwa ślązkiego, które w dziwnem zapoznaniu przyrodzonych praw każdego narodu, nietylko ruch ten zwalcza, ale nawet wprost uprawia germanizacyą. Lud więc walczyć musi nietylko z rządem i z hakatą, ale także z własnymi pasterzami. Jak bolesnym jest dla niego taki stan rzeczy, to należycie zrozumieć może tylko ten, kto zna dobrze głębokie przywiązanie polskiego ludu do wiary św. i jej stróżów. Nie da się także zaprzeczyć, iż to dziwne i niepojęte „uprzedzenie antipolskie“ większości kleru górnoślązkiego jest poważnem niebezpieczeństwem dla ducha i poczucia religijnego ludu.

Co prawda, nie brakło nigdy na Slązku kapłanów, którzy jasno widzieli, dokąd to taka walka między ludem a duchowieństwem doprowadzić musi, a którzy wskutek tego w interesie wiary i kościoła starali się konfratrów swych naprowadzić na inną, lepszą drogę.

Między nimi przodował przez czas dłuższy zmarły niedawno śp. ks. *Robert Engel* — wymowny „kanclerz polskiego ludu.“ Ale głos tych wyjątków nie odnosił pożądanego skutku, odbijał się jak groch o ścianę; snać był za słaby, zbyt pobłażliwy jeszcze dla germanizatorów w sutannie. Sam ks. Engel np. — jakkolwiek w cztery oczy, wśród zamkniętych ścian nieraz duchownym germanizatorom ostre prawił kazania — nie lubił, aby na ten temat toczyła się *publiczna* dyskusya. I to zapewne było główną przyczyną bezskuteczności jego usiłowań. Z poufnych takich napomnień duchowni germanizatorzy nie wiele sobie robili.

Tymczasem w ludzie z każdym rokiem wzmagała się świadomość narodowa, a wraz z jej wzmaganiem się zwiększał się także przedział między ludem a duchowieństwem. I stało się, co z dawna przewidywano: z przedziału tego zaczął korzystać ktoś trzeci — wróg zarówno ludu jak i wiary, socyalna demokracya; usadowiwszy się między ludem z wielkiem powodzeniem siała i sieje kąkol między pszenicą.

Lecz Bóg widocznie czuwa nad wiernym ludem swoim. Gdy na wieki zamknęły się usta śp. ks. Roberta Engla — zjawił się nowy kapłan apostół, który w ostatniej chwili stara się wyplenić zło głęboko zakorzenione. Jest nim proboszcz z Ligoty pod Białą ślązką, czcigodny ksiądz *Skowroński.* Kapłan ten wydał świeżo broszurę, w której jasno i dobitnie wywodzi, że nauka religii winna być zarówno w szkole jak i w kościele udzielaną tylko w języku ojczystym dzieci, i na podstawie tej jedynie słusznej zasady chłoszcze z prawdziwie apostolską mocą wszelką germanizacyą przez Kościół.

Ks. prob. *Skowroński* należy do młodszej generacyi kapłanów ślązkich, do tej, którą powołano do pracy w winnicy pańskiej już w chwili silnego rozbudzenia się ducha narodowego na Slązku. Wzrósł on już w nowych pojęciach, w nowych stosunkach, jaśniej więc i lepiej rozumie położenie i ducha czasu, niż starsza generacya. Trucizna, jaką poi się młodzież polską w szkołach, nie znalazła przystępu do szczerze polskiej duszy jego. Teologiczne jego studya przypadają, o ile się nie mylimy, na lata 1888 do 1901. Grono młodych teologów, podobnie jak on myślących i usposobionych było wówczas dość znaczne. Nie wszyscy atoli pozostali wiernymi ówczesnym ideałom.

Większość upłynęła w prądzie germanizacyjnym, kilku dzielnych Bóg powołał do swej chwały, reszta, jakkolwiek żywi te same co dawniej uczucia, z rozmaitych względów nie ma odwagi dać im należytego wyrazu. Jedynie ks. *Skowroński* nie zamilkł, nie poddał się potwornym wpływom, lecz bez przerwy od chwili otrzymania święceń kapłańskich z prawdziwie bohaterską cywilną i apostolską odwagą głosi prawdę i walczy w jej obronie.

Tej odwagi dał dowód i przez tę nową broszurę swoją. Wiedząc z doświadczenia, że poufne zabiegi nie odnoszą skutku, wystąpił publicznie, śmiało z odkrytą przyłbicą — i w wymownych słowach „coram publico“ wytyka zdrożność i szkodliwość germanizacyi przez Kościół.

Z jego broszury, napisanej w języku niemieckim, dowiadujemy się dużo bolesnych szczegółów. „Księżom w kościele, pisze, nie wolno pod żadnym warunkiem przykładać ręki do germanizacyi. Nie wolno prawą ręką ściskać poufnie dłoni hakatystów, a lewą podawać ludności polskiej, ale ludowi musimy podać *obie ręce, musimy ze wszystkiem do niego należeć, całkiem stać po jego stronie.*“

Na innem miejscu omawiając znaną petycyą księży górnośląskich wysłaną przed trzema laty do ministra oświaty o przywrócenie polskiej religii w szkołach, ks. Skowroński tak się odzywa:

„Duchowieństwo nie może się wystawiać na pośmiewisko ministrów i ludu przez to, że podpisuje petycyę w języku ojczystym, a jednocześnie dzieci polskie w nauce przygotowawczej do pierwszych sakramentów św. uczy po niemiecku. — Wygodni, — bojaźliwi lub skłonni do germanizacyi księża tem się uniewinniają, że rodzice sami swych dzieci na polską naukę nie posyłają. Prawda, że są niestety tacy niepomni swych obowiązków rodzice, ale w takich razach tem większy obowiązek *cięży na księdzu.* Powinien on rodzicom zwrócić uwagę na to, że mają nietylko prawo, ale nawet sumienny obowiązek żądać, żeby ich dzieci chodziły na polską naukę przygotowawczą, bo inaczej utracą ⅞ swej wiary. „Nie owieczki prowadzą pasterza, ale pasterz prowadzi owieczki.“

Jak daleko niektórzy księża górnoślązcy w swych dążeniach germaniza-

cyjnych już zaszli, na to czcigodny kapłan ten wprost przerażające przytacza dowody. Otóż pewien ksiądz germanizator tak się wyraził:

„Nie mamy żadnej odpowiedzialności, jeżeli germanizujemy, *życzą sobie tego z góry.*“ A inny znów ksiądz germanizator powiedział do swego nieinstalowanego jeszcze konfratra w obecności nauczyciela i organisty: „Germanizuj ksiądz, a ja się księdzu o dobre probostwo postaram.“

Przyczyną takiego niegodnego postępowania wielu kapłanów na Ślązku jest *nacisk wywierany przez władze i patronów parafii.* Księża, którzy śmią sprzeciwiać się germanizacyi, nie mogą dostać probostwa. To atoli, zdaniem kapłana-autora, nie uniewinnia ich bynajmniej. Powinni pamiętać o tem, że *Kościół nie może być służebnicą bożka państwowego,* powinni pamiętać o słowach św. Pawła.

Obszernie i gruntownie omawia ks. autor prawo ludu do swego języka ojczystego i wszelkie przepisy kościelne uznające to prawo — a także straszną niedolę polskiego ludu śląskiego. *„Pokażcie mi — woła — na całej kuli ziemskiej jakąkolwiek ludność, którąby tak traktowano, jak ludność polską na Ślązku!“*

Broszura ks. *Skowrońskiego* przeznaczona jest nie dla ludu, — lecz dla kapłanów, lecz i lud o niej wiedzieć powinien. Dlatego i my przytaczamy z niej te wyjątki. Dowodzą one, że czcigodny autor odważnie przykłada nóż do wrzodu, jaki oddawna jątrzy się na ciele polsko śląskiem i pragnie go wyciąć z korzeniem. Czy mu się to powiedzie, któż to przewidzieć może? Zatwardziałość ludzka bywa nieraz mocniejszą od *anielskich* nawet głosów. Ale już za ten zamiar szlachetny, za to silne, potężne słowo apostolskie, wypowiedziane w obronie wiary, ludu i świętych praw jego należy się ks. Skowrońskiemu cześć i wdzięczność ogólna. Daj Boże, ażeby nawróciły tych, którzy błądzą, ażeby wznowiły znów jedność między duchowieństwem a ludem na Ślązku — ale na podstawie przyrodzonych praw ludu!

Ślązak.

Niech żyje syonizm!

Dziwny od lat kilku powstał prąd i ruch między żydami całego świata, mianowicie zaś między żydami w Polsce. Zda się, że potężna idea narodowościowa, która wstrząsa dziś całym światem, oddziałała także na nich. Dotychczas tworzyli tylko społeczeństwo *wyznaniowe,* spojone nadto wspólnemi im wszystkim właściwościami rasy, lecz w każdym kraju, z wyjątkiem naszej Polski, pod względem narodowym *pozornie* przynajmniej asymilowali się z ludnością krajową. Teraz naprawdę zachciewa im się być także *narodem,* mimo rozproszenia po całym świecie, jednolitym, o wspólnych celach *narodowo-politycznych.* Głoszą nawet, że pragną wrócić do dawnej swej ojczyzny i tam odnowić państwo Dawidów i Salomonów. Z początku uważano prąd ten za wytwór fantazyi jednostek; dziś jednakże trudno nie dostrzedz, że jest to prąd żywiołowy, odruch szerokich kół, myśl poważna, z którą liczyć się należy.

Niedawno temu odbył się w *Mińsku* na Litwie walny wiec „syonistów,“ bo tak od dawnego Syonu przezwali się propagatorowie tej myśli, a na tym wiecu rozstrząsano obszernie ideę wskrzeszenia narodowości i państwa żydowskiego, tych zaś żydów, którzy prąd ten zwalczają, sponiewierano, okrzyczano za zdrajców. Wiece takie odbywały się już częściej na zachodzie, żaden atoli nie miał takich rozmiarów, takiego żywiołowego rozpędu, jak ten ostatni w Mińsku. Równocześnie niemal silnie i głośno przemówiła młodzież żydowska na uniwersytecie *lwowskim,* wykazując, że już nie od wczoraj lecz od dawna stara się i walczy o *uznanie odrębnej narodowości żydowskiej.*

Ponieważ w żadnym kraju na świecie nie ma tyle żydów, co u nas w Polsce, przeto ten prąd wśród żydów nas bardziej interesuje i interesować musi, niż wszelkie inne narody. więc i my zwracamy nań uwagę Czytelników naszych.

Wiadomo, jak to żydzi odwdzięczyli się nam za to, że pradziadowie nasi przyjęli ich do kraju swego, gdy ich w całym świecie prześladowano i tępiono, jak dzikie zwierzęta. W Polsce nawet napozór nie stali się Polakami, lecz przez wszystkie wieki zachowali odrębny język czyli żargon *niemiecko*-żydowski, nie mówiąc już nic o tem, że się w inny sposób z nami nie zasymilowali . Skoro zaś wrogowie rozebrali ojczyznę naszą, gdy straciliśmy samodzielność i niezawisłość polityczną, a tem samem i władzę nad własnym krajem, żydzi otwarcie przeszli na stronę naszych nieprzyjaciół. U nas w zaborze pruskim ze świecą już niktby nie znalazł *polskiego* żyda, wszyscy stali się Niemcami, a nawet *hakatystami.* I ta garstka, która w *Królestwie* i w *Galicyi* z rozmaitych przyczyn przeważnie dla osobistych korzyści przyswoiła sobie język polski i udaje Polaków, nie wchodzi w rachubę. Uczucia ich charakteryzuje wymownie orzeczenie pewnego inteligentnego żyda w Królestwie, że przecie tylko *„przypadkiem jest Polakiem.“* Gdyby bowiem los byłby go zapędził do innego kraju, przyznawałby się z tą samą łatwością do każdej innej narodowości. Ogromna większość żydów w zaborze rosyjskim i w Galicyi jest wręcz *wrogo* usposobiona dla narodowości polskiej; w *Galicyi* ciąży ku *Niemcom,* w Królestwie i na Litwie od pewnego czasu otwarcie wprost schlebia i wysługuje się rządowi rosyjskiemu. I tylko tej dążności swojej zawdzięczają, że pozwolono im tam odbyć ów wiec syonistyczny w *Mińsku* oraz liczne sejmiki relacyjne na prowincyi i w Warszawie. Takich wieców, takich sejmów nie wolno tam przecież odbywać ani Polakom, ani nawet Rosyanom; nie wolno im tworzyć organizacyi polityczno-narodowych, podczas gdy na to zezwolono teraz żydom! Słusznie więc przypuszcza cała niemal prasa polska, że decydujące koła rosyjskie mają tę pewność, iż ruch żydowski mianowicie ten nowy syonistyczny nie zwróci się przeciwko rządowi, nie będzie solidaryzował z Polakami, lecz przeciwnie pomagać będzie w *zwalczaniu* Polaków i narodowości polskiej.

Niektóre dzienniki uderzyły z powodu tego na alarm, dopatrując się w syonizmie nowego groźnego niebezpieczeństwa dla sprawy polskiej. *Co do nas, to tej obawy nie podzielamy, przeciwnie, uważamy syonizm dla całego naszego życia narodowego, a mianowicie, dla ukształtowania się naszej przyszłości za czynnik bardzo dodatni i... pożądany nawet.*

My pojmujemy go tak: Nie może być o tem mowy, iżby Syoniści już dziś na seryo marzyli i myśleli o wznowieniu samodzielnego państwa żydowskiego w Palestynie lub gdziekolwiek. Ludzie, przywykli do wyzysku innych, ekonomicznie mniej uzdolnionych społeczeństw, nie zechcą pozbawić się dobrowolnie wdzięcznych objektów wyzysku i pójść tam, gdzieby — *wzajemnie* się wyzyskiwać musieli. Nie, o tem jeszcze nie myślą. Zrozumieli oni atoli ogromną siłę, jaka tkwi w idei narodowościowej, zapragnęli więc rozbudzić ją i we własnem, dotychczas wyznaniowem społeczeństwie i przez to stać się czynnikiem w świecie *jeszcze ważniejszym,* niż są dzisiaj. Zagarnąwszy już zresztą niemal połowę wszystkich skarbów świata, czują się na siłach, aby dotkliwiej jeszcze poło-

żyć ciężką swą rękę na życiu innych narodów. Odrzucają więc dzisiaj nawet *pozorną* asymilacyą z ludami, wśród których żyją, pragną tworzyć *naród* wśród *narodu, państwa w państwach* i zmusić rasę aryjską, aby pokorniej jeszcze czołgała się u ich stóp.

Przyczyna powstania syonizmu, jaką wyłuszczono na sejmie w Mińsku, a mianowicie wzmagająca się rzekomo *nędza* wśród żydostwa, to tylko płaszczyk dla zakrycia właściwego jego celu. A celem tym jest i pozostanie wyłącznie zamiar większego jeszcze wewnętrznego *wzmocnienia* żywiołu żydowskiego do walki z innymi narodami. Nie o ratowanie żydów z nędzy, lecz o ściślejszą jeszcze *organizacyą zaczepną żydostwa chodzi dziś syonistom.*

Czy organizacya taka może się stać dla nas niebezpieczną? Bynajmniej! Przeciwnie stać się musi *zbawienną*. Gdyby to żydzi tak się byli zasymilowali z nami chociaż pozornie, jak to uczynili w Niemczech, we Francyi i w Anglii, gdyby *popierali* naszą pracę i walkę o lepszą przyszłość, wówczas usunięcie się ich od nas, utworzenie *własnego* organizmu *narodowego* w *naszem* ciele narodowem można by stawiać na równi z dotkliwą dla nas szkodą.

Ponieważ atoli tego dotychczas nie uczynili, ponieważ stanowią po dziś dzień *obcy* zupełnie żywioł w naszem ciele, zupełnie ich odłączenie się od nas *nic nam nie zaszkodzi.* Cóżbyśmy my np. w zaborze pruskim stracić na tem mogli, gdyby *wszyscy* żydzi tutejsi z Niemców przeistoczyli się w *narodowców żydowskich?* Nic zgoła!

Tak samo ma się rzecz w Galicyi i w Królestwie. Obojętną tam zupełnie jest rzeczą dla nas, czy obcy żywioł stanie się nam jeszcze bardziej obcym, lub nie.

Ale jak się rzecz ma z rzekomą *zbawiennością,* a co najmniej z *korzyścią* tego odruchu żydowskiego *dla nas?* Zastanówmy się krótko nad tem, a zaraz to poznamy.

Zarówno w Galicyi jak i w Królestwie popierała i popiera nasze *narodowe* interesy tylko mała garstka rzekomo *„spolszczonych“* żydów, a w dodatku popierała je zawsze jedynie z *samolubnych* względów. Poparciem tem wnosiła zaś w społeczeństwo nasze zarazę, *tamowała zdrowy rozwój sił narodowych.* W zamian bowiem za tę problematyczną pomoc żądała od nas wyrozumiałości, a nawet pobłażliwości dla tego *olbrzymiego tłumu chałatowego,* który nas nietylko nie popierał, ale wprost *haniebnie wyzyskiwał.* Wzgląd na to nieliczne grono rzekomo polskich milionerów i mecenasów żydowskich nie dopuszczał do rozwinięcia się *zdrowego antysemityzmu,* a chociażby tylko a — semityzmu w Królestwie i Galicyi. Ci bogacze żydowscy wywierali ogromnie szkodliwy wpływ na całe nasze życie narodowo-polityczne, i ekonomiczne, na naszą prasę, sztukę i literaturę. Dla rzucanych nam z łaski srebrników judaszowych patrzano tam spokojnie na nędzę *własnego ludu, bano się rozwijać ekonomiczny zmysł we własnem społeczeństwie, wypierać żydów z handlu i przemysłu.* I podczas gdy oni się dorabiali krwawicą naszą, *bracia nasi tamtejsi ubożeli i ledwie wegetowali.*

To teraz musi się zmienić! Gdy wśród tego szarego tłumu żydowskiego wyłonił się syonizm, gdy ten syonizm dąży do wytworzenia *odrębnej narodowości żydowskiej, upada wreszcie wszelka dla nas nadzieja, iżbyśmy ten tłum kiedykolwiek mogli zasymilować z sobą pod względem narodowym nawet nie po ewentualnem odzyskaniu niezawisłości politycznej, upadają wszelkie inne względy.* Otwarcie dziś rzuca nam żydostwo rękawicę, otwarcie i butnie wyzywa nas do walki tym swoim syonizmem. Jeżli więc zmarnieć nie chcemy *„musimy podjąć rękawicę i rozpocząć na dobre, na całej linii bezpardonową,* zaciętą walkę z żydostwem, *musi się zrodzić antysemityzm bezwzględny z hasłem: „nic od żyda, ani grosz do żyda“* — także w *Królestwie i w Galicyi.* A gdy dążność ta opanuje całe nasze społeczeństwo narodowe, także Królestwo i Galicya stworzą u siebie taki przynajmniej handel i przemysł polski, jaki my dziś mamy w Księstwie, wyemancypują się od żydów i oprą się na własnych siłach. To zaś będzie *zbawieniem* dla nas, najlepszą rękojmią lepszej przyszłości.

A potem co? A no! potem syonistom nie pozostanie nic innego, jak na prawdę wynieść się gdzie za morze i stworzyć sobie *własne* państwo. Dopomogą im do tego zapewnie wszelkie inne narody, którym syonizm rychło dotkliwie da się we znaki. My zaś pobłogosławimy żydom na drogę.

Alež mrzonki to tylko! powie niejeden.....

Mrzonki te — kochani rodacy w *Królestwie* i w *Galicyi, muszą się stać rzeczywistością,* jeżli podejmiecie odważnie rzuconą wam przez syonistów rękawicę i rozpoczniecie walkę z żydostwem na każdym kroku. Skorzystajcie więc z tej *chwili,* organizujcie się do walki, bądźcie w niej *mężni i wytrwali;* wówczas wraz z nami zawołacie wesoło: ***Niech żyje syonizm!***

Ordon.

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień w polityce nie wiele przyniósł zdarzeń, godnych upamiętnienia lub chociażby tylko wzmianki w naszej kronice. W *parlamencie niemieckim* sytuacya pozostała niezmienioną. Większość przyjęła jeszcze kilka dalszych pozycyi celnych na zagraniczne *bydło, owce i nierogaciznę* według uchwały komisyi taryfowej wysokości mk. 14,40 za centnar metryczny żywej wagi, a mniejszość naprożno starała się temu przeszkodzić przez stawianie wniosków obstrukcyjnych. Odrzucono też wniosek opozycyi, żądający przerwania rozpraw wogóle i odroczenia ich aż do chwili, w której ukończone będą rozprawy nad budżetem. Większość bowiem dopilnowała sprawy i postarała się o to, ażeby parlament zawsze był w komplecie, zdolnym do powzięcia uchwał. Dawno już przez czas tak długi parlament nie był tak pełny, jak w ostatnich trzech tygodniach. Jak długo ta gorliwość posłów potrwa, trudno przewidzieć, ponieważ zaś od niej zależy wynik obrad, więc i sytuacya, jest jak była — niepewną. Ze strony rządu uznano znów za potrzebne przemówić do sumienia obu stron, ażeby zbytniem wysuwaniem stronniczych interesów nie zaprzepaszczały taryfy całej. Uczynił to minister hr. *Posadowsky.* Mówił z wielkiem namaszczeniem, na końcu nawet przypomniał posłom biblijne mene-tekel, twierdząc przytem, że walką tą o cła zagrożony jest byt i rozwój Rzeszy niemieckiej, ale i ta mowa nie sprawiła pożądanego przez rząd wrażenia. Skuteczniej podobno oddziałują na sytuacyą różne zakulisowe manewry oraz intrygi.

Niektóre organa prasy niemieckiej pocieszają się też już nadzieją, że jeszcze wszystko dobrze się zakończy, że żądająca zbyt wysokich ceł większość Izby ostatecznie odstąpi od swoich żądań i zgodzi się na propozycye rządowe co do ceł zbożowych, w zamian za co inne otrzyma kompensaty.

Być może, że to zbytni optymizm — alećwreszcie w Niemczech dziś wszystko możliwe. To tylko podobno

pewne, że hr. *Bülow*, któremu przepowiadano już rychły upadek i wymieniano już następcę w osobie generała *Hahnke*, silnie jeszcze siedzi w siodle, mając za sobą cesarza. Ważniejszych też zmian w sytuacyi w najbliższym czasie spodziewać się bądź co bądź nie można.

W *Berlinie* bawił w ubiegłym tygodniu *duński* książę następca tronu. Przybył urzędownie, więc przyjmowano go z wielkimi honorami. Pierwszy to od czasów wojny duńskiej wypadek, że członek duńskiej rodziny królewskiej odwiedził dwór berliński. Zaraz też z tego powodu prasa berlińska zaczęła snuć złote marzenia, że Dania zapomniała już o roku 1864, że pogodziła się z utratą Szlezwiku i z germanizacyą tamtejszej ludności duńskiej, i że teraz nastanie błogi czas zbratania się obu sąsiadujących z sobą narodów. Naszem zdaniem, wielkie to złudzenie. Chociażby dwór duński zapomniał o klęsce i o niedoli Duńczyków pod berłem pruskiem, to nie zapomni o nich naród duński i zapewne jak dotychczas tak i nadal wyczekiwać będzie z upragnieniem chwili, w której spokornieje buta niemiecka, a kresy duńskie w Szlezwiku wrócą znów do macierzy.

Głośno i gwarno było w ubiegłym tygodniu jedynie w *Wiedniu*, gdzie przed forum parlamentu austryackiego prano znowu przez trzy dni ku ogromnej uciesze Niemców — brudy polskie z *Galicyi*. Przyczyną tej trzydniowej dyskusyi był wniosek *Rusinów* w sprawie strejku rolnego w Galicyi wschodniej. Wniosek ten uzasadniał poseł *Romańczuk*, który wytoczył mnóstwo skarg na rzekomy wyzysk i ucisk ludu ruskiego przez panów polskich oraz na inne krzywdy Rusinów.

W lot przyskoczyło mu na pomoc dwóch „Polaków" i półsocyalista *Breiter* ze Lwowa i cały socyalista *Daszyński* z Krakowa. Panowie ci przesadzili jeszcze posła ruskiego w szkalowaniu polskiej szlachty i polskiego społeczeństwa wogóle. Na magnatach zwłaszcza nie pozostawili suchej nitki. . Szkoda tylko, że mieszali prawdę z kłamstwem i że nieprawdy opowiadali więcej, niż prawdy. Na zarzuty ich odpowiadali z ław polskich nowy poseł lwowski prof. *Głąbiński*, dzielny mówca, lecz zbyt skrajny wróg Rusinów, dalej Dawid *Abrahamowicz*, *Dzieduszycki* oraz inni. Inne stronnictwa nie mieszały się bezpośrednio do rozpraw, niemieckie wyrażały tylko radość swoją [illegible] bezustanne podjudzanie zwaśnionych braci obelżywemi okrzykami. *Czesi* zaś wcale niedwuznacznie okazywali niesmak swój z tego prania brudów słowiańskich braci. Oni też wreszcie zamknęli usta mówcom obustronnym przez wniosek posła Fiedlera, który zyskał większość.

Rusinom chodziło głównie o to, ażeby zmusić centralny rząd wiedeński do wmieszania się w tę sprawę i do zaopiekowania się Rusinami przeciwko Polakom. Celu tego nie dopięli jednakże, bo wybrali się nie w porę.

Dr. *Koerber* potrzebuje obecnie Polaków ze względu na zapowiedzianą obstrukcyą Czechów i obrady nad budżetem, więc nie chce ich sobie zrazić. Odpowiedział też na skargi Rusinów cierpkiemi uwagami pod ich adresem a komplementami dla Polaków, u których podnosił wierność dla tradycyi narodowej obok chętnego popierania żywotnych interesów monarchii austryackiej. Zaprzeczył też stanowczo, jakoby władze galicyjskie i wojsko podczas strejku dopuszczały się były nadużyć i gwałtów względem chłopów ruskich. Mówił on o Polakach tak czule, że powstała obawa, iż w zamian za to Koło polskie pójdzie teraz za nim, jak Niemiec mówi „durch dick und dünn" — nawet przeciwko *Czechom*. Czy się obawa ta spełni, trudno przewidzieć. Ze strony wiedeńskiego Koła polskiego i to byłoby możliwem; chociaż na razie rzeczywiście trudno coś podobnego przypuścić ze względu na ogólne niezadowolenie z rządów Koerbera i macoszego traktowania interesów polskich, jakie panuje w Galicyi. Swoją drogą rezultat tych trzechdniowych obrad, które niekiedy przybierały charakter bardzo gwałtowny, jest bardzo ujemny. Obie strony — Polacy i Rusini, z fałszywego wychodzili założenia. Rusini twierdzili, że strejk miał tylko przyczyny ekonomiczne, Polacy, że przyczyną jego była wyłącznie nienawiść narodowa prowodyrów ruskich do Polaków, a celem wyparcie ich z Galicyi wschodniej za San. W rzeczywistości bowiem łączyły się obie te przyczyny. Agitatorowie ruscy nie byliby znaleźli takiego posłuchu, gdyby lud ruski nie był miał powodu do niezadowolenia także z materyalnych względów. Skończyło się też na tem, że nienawiść u Rusinów wskutek tych obrad jeszcze się wzmogła i że położenie w wschodniej Galicyi jest tak samo krytyczne, jak było. W kilku miejscowościach znów też podobno wybuchł strejk; chłopi nie chcą kopać kartofli, wskutek czego plon ten marnieje w ziemi. Smutne to stosunki, a na razie nie ma z nich drogi wyjścia.

Anglia ma znowu kłopoty w *Afryce*. W kraju *Somalisów* powstał przeciwko niej kacyk murzyńskiego plemienia Ogadów zwany „szalonym Mułłą" i rozbił oddział angielski pod dowództwem pułkownika Swagne. Pokonanie tego nowego wroga kosztować znów będzie Anglią kilkaset żołnierzy i parę milionów; dziś atoli, po zwalczeniu Burów, będzie to tylko stosunkowo *mały* kłopot.

Rząd *francuzki* w dalszym ciągu prowadzi walkę z Kościołem, a niestety, nawet senat francuzki pochwalił jego postępowanie. Źle się to skończy dla *Francyi*.

W *położeniu naszem* nic się nie zmieniło w ubiegłym tygodniu. Posłowie nasi nie zabierali już głosu podczas dalszych obrad nad cłami, i dobrze zrobili. *System antipolski* rozwija się dalej — na razie za pomocą „małych środków." Czy nam nowa sesya sejmu przyniesie znów jakie wielkie środki antypolskie, nie wiadomo jeszcze. Tymczasem zwracamy nauczycielom u nas, którzy tak chętnie wysługują się hakacie i polityce germanizacyjnej rządu, uwagę na proces, jaki toczył się świeżo w Berlinie.

Pewien fizyk powiatowy i pewien nauczyciel (Nickel) wytoczyli w jednem z pism gorzkie skargi na dyrektora dóbr rządowych *Trakehnen* w Prusach wschodnich, gdzie mieści się sławna stadnina rządowa, pana von *Oettingen*, że nauczycieli w tych dobrach traktuje gorzej niż... konie. Za to oskarzono ich o obrazę Oettingena. W procesie wyszły na jaw upokarzające wprost dla stanu nauczycielskiego szczegóły. Stwierdzono, że Oettingen traktował ich *pogardliwie*, że podczas gdy dla koni budowano wspaniałe pałace, nauczyciele i robotnicy mieszkać musieli w *norach*, zaciekających od deszczu, zimnych, walących się od starości — oraz wiele innych podobnych faktów. Mimo to sąd skazał zarówno owego fizyka jak i nauczyciela na kary pieniężne nadto na koszta sądowe, dochodzące do *40,000 marek*. Sprawa ta wywołała ogromne oburzenie w pruskich kołach nauczycielskich. Okazało się, że „schulmeister" pruski tam tylko ma się dobrze, gdzie potrzebny jest do germanizacyi.

Powinno to nauczycielom otworzyć oczy — ale czy otworzy, wątpimy. — Jeźli minie bez ustępstw, temci gorzej dla nich.

K. O.

Przegląd prasy.

Prasa nasza — po zamknięciu dyskusyi w sprawie ceł i reformy Koła parlamentarnego powróciła poniekąd znów, że się tak wyrazimy, do *codziennych* swych zajęć. W obszernych trzech artykułach omawiał *„Dziennik Poznański“* broszurę, jaką znany poseł centrowy *Roeren* wydał o sprawie polskiej w Prusach. Broszura ta napisana jest ciepło i sprawiedliwie, jest więc dla nas sympatyczna; nie wątpimy też o szczerości przekonań posła *Roerena;* na razie jednakże nie przypisujemy jej ważniejszego znaczenia. Dopóki centrum nie odda nam *Śląska,* dopóki rościć sobie będzie pretensye do tej prastarej polskiej dzielnicy, my nie uwierzymy w jego bezstronność w sprawie polskiej. Przyjmujemy z wdzięcznością ten głos posła centrowego, ale wolelibyśmy mniej sprawiedliwości *w słowach* ze strony Niemców katolików, za to więcej *w czynach.*

„Germania“ berlińska wystąpiła świeżo w dłuższym artykule przeciwko hakatystycznym „Berl. Neueste Nachrichten“, które na wieść, iż polskim żołnierzom udziela się opieki duchownej w języku polskim, dostały prawdziwego napadu furyi i wzywały rząd, aby germanizował żołnierzy polskich także za pomocą wojskowych duszpasterzy. Zwalczając tę furyą antipolską, „Germania“ wzięła w obronę biednych polskich wojaków. Wobec tego słusznie pisze *„Wielkopolanin“:*

„Bardzo się to chwali „Germanii“, że w sposób tak dosadni wyjaśniła tę niezmiernie ważną sprawę. Cóż to jednak pomoże? Artykuł dziś jest, jutro o nim się zapomina, a sprawa, o którą chodzi, się nie zmieni. Jedynym sposobem byłoby, aby partya centrowa z całą energią i z jak największym naciskiem poruszyła w parlamencie sprawę spowiedzi żołnierzy polskich.

„Swego czasu poruszył tę sprawę nasz poseł X. dr. Jażdżewski, centrum poparło wywody naszego posła, ale widać, że to nie wystarczyło, bo w rzeczy samej nic się nie zmieniło. Jeżeli centrum chce uchodzić za obrońcę katolicyzmu powinno z własnej inicyatywy zająć się sprawą i energicznie ją poprzeć. Partya centrowa ma dość po temu sił, jeżeli więc tak nie czyni, zbywa jej najwidoczniej na dobrych chęciach, albo też centrowcy nie chcą wystąpić w tej sprawie, ponieważ tu chodzi o polskich żołnierzy katolickich. Centrum dziś już z daleka się trzyma od spraw polskich, bo to się rządowi nie podoba.“

„Dziennik Kujawski“ zbija w dłuższym artykule brednie niemieckie o wyższości niemieckiej kultury i to na podstawie niezbitych dowodów. Z interesującego artykułu tego wyjmujemy następujące uwagi:

„Na ławach ministeryalnych słyszymy bardzo często zawezwanie nas do bicia pokłonów przed kulturą niemiecką. Każą nam Polakom być wdzięcznymi za to, że w kraju naszym niby to barbarzyńskim i zacofanym kultura ta użyzniła naszą ziemię, zarosłą lasami, pełnemi dziczyzny, zaległą bagnami, z których powstające trujące miazmata tysiące zabierały ofiar. Za tę kulturę mamy się wyprzeć naszej narodowości i zapomnieć o przeszłości.

„Pismaki niemieckie, czy to z nieświadomości naszej historyi, czy to z rozmysłu oczerniają naród polski, i nie chcąc widzieć ani jednej jasnej j pięknej strony dziejów naszych, zarzucają nam pomiędzy innemi przestępstwami politycznemi *ciemiężenie ludu pracującego....*

„Karty naszej historyi są czyste; nie plami ich krzywda stanów pracujących. Myśmy zrozumieli wzniosłą myśl chrześcijaństwa, a surowość i dzikość obyczajów łagodziliśmy miłością, nakazaną przez ewangelią św. My wierni rycerze Zakonu Pańskiego, pracowaliśmy na niwie własnej, na swój i narodów obcych pożytek. Myśmy krew lali za wolność Europy, my stojąc na pograniczu Wschodu i Zachodu, odpieraliśmy napady barbarzyńców Azyi — żywiliśmy nawet naszem zbożem umierające z głodu narody zachodniej Europy. Dlatego to popełnilibyśmy zbrodnię historyczną, gdybyśmy, jak nam każą — wyprzeć się mieli naszej przyszłości.“

Lech znów zwrócił uwagę na nieszczęsne skutki *pijaństwa* i na wpływ tej strasznej wady na obyczaje. Zwalczanie jej należy do stałych jego rubryk, czem wielką zdobywa sobie zasługę.

„Gazeta Toruńska“ poświęca baczną uwagę stosunkom kościelnym w tych dyecezyach, gdzie biskupów i większość duchowieństwa dzieli od ludu polskiego różnica narodowości. W artykule określającym zasadnicze jej stanowisko, organ ten pisze:

„Ks. ks. biskupi Śląska i Warmii nie znają języka polskiego i nie umieją się z dyecezyanami swymi rozmówić, co jest rzeczą nie tylko arcysmutną, ale wręcz nie naturalną, bo nie dyecezya dla biskupa, ale biskup dla dyecezyi. A bliżej nas (w Prusach Zachodnich — przyp. Red. „Pracy“) jakżeż? Jakieś lawirowanie i niby ubolewanie, że w szkołach uczą po niemiecku religii, ale odważnego potępienia tego systemu nie możemy się jakoś doczekać. Przeciwnie doczekaliśmy się zupełnie czegoś innego, nowości arcyzgubnej; bo oto na wizytacyach swoich arcypasterskich pozwala Nasz Najprzewielebniejszy ks. Biskup dr. Augustyn Rosentreter nauczycielom w swej obecności wypytywać dzieci naturalnie po *niemiecku,* boć nauczyciele inaczej mówić nie będą. Tak działo się w Wielu, tak samo i w Brusach. Taka praktyka nie jest niczem innem, jak potwierdzeniem nakazów rządu i wprowadzeniem i usankcyonowaniem nauczania religii dzieci polskich w języku niemieckim. Za tym przykładem pójdą wnet niejedni słabej woli i charakteru dziekani proboszczowie i niemczyzna w religii będzie uchwalona, przyjęta i praktykowana; Kościół zejdzie na naśladowcę szkoły.

„Jest to u nas pierwszy krok najfatalniejszy, jest i najtrudniejszy i do zguby zaprowadzić musi.“

W Berlinie odbył się przed tygodniem wiec polski w sprawie duszpasterstwa. Wiec ten uchwalił starać się usilnie u władzy duchownej o opiekę duchowną w polskim języku. O jego przebiegu czytamy w *„Dzienniku Berlińskim“:*

„Jak jedna wielka bolesna skarga brzmiały referaty mówców, a jeżeli niektóre z nich zaprawnione były goryczą, ujawnioną w niejednem ostrem słowie, to zaprawdę nie wina to garnącej się do kościoła ludności polskiej na obczyźnie, ale tych czynników, które powołane są do przygarniania tej ludności, a które oddzielają się od niej chińskim murem niemczyzny i ciągle oglądają się na rząd, a zapominają o obronie owieczek, powierzonych ich duchowej pieczy. Straszne stosunki w dziedzinie religijno-moralnej, jakie panują np. na Moabicie, a które reprezentant parafii św. Sebastyana w jaskrawych a prawdziwych przedstawił barwach, są w nienajmniejszej części skutkiem zaniedbania naszych rodaków przez czynniki kościelne. Nie mogąc uzyskać polskich ślubów i chrztów, poprzestają tam liczni rodacy na ślubach cywilnych, dzieci nie chrzcą i z posiewu tego socyalizm obfite zbiera żniwo.

„Nadmieniamy tylko, że cały wiec miał przebieg bardzo poważny, niezamącony żadnym dysonansem. Przemawiało na nim nie mniej jak 16 rodaków.“

Prasa *galicyjska* zajmowała się w ubiegłym tygodniu jeszcze jubileuszem Maryi Konopnickiej oraz debatą nad strejkiem rolnym w parlamencie wiedeńskim. W prasie w *Królestwie* nie znaleźliśmy nic, coby bardziej nas tu zainteresować mogło. *B. M.*



Dział illustrowany.

Kniaziewicz Karol, generał polski.

(Do illustracyi.)

Kniaziewicz Karol, generał polski, urodził się 1762 r. we wsi Assiten pod Mitawą w Kurlandii; był synem właściciela ziemskiego. Przebywszy trzy lata w szkole korpusu kadetów w Warszawie, gdzie poprawił sobie zniemczoną wymowę i przyjął katolicyzm, wstąpił do szkoły artyleryi, po której ukończeniu został za sprawą generała Brühla oficerem w batalionie fizylierów. Tu zaczęła się dla niego epoka burzliwości młodzieńczej, po której nastąpiła epoka czynu. Wędrując z batalionem po całym niemal kraju, dokładnie zbadał jego obyczaje i wyrobił się. Znaczne przez te lata w naukach wojskowych uczyniwszy postępy, zaczął je kolegom swoim z powodzeniem wykładać. W wojnie 1792 otrzymał stopień majora. Gdy 1794 Madaliński podniósł chorągiew powstania, Kniaziewicz jeden z pierwszych do niego się przyłączył; jako szef sztabu Zajączka uchronił wojsko od zupełnej klęski pod Chełmem (8 czerwca) i mianowany został generałem na polu bitwy pod Gołkowem (9 lipca). Świetny też miał udział w obronie Warszawy, oblężonej przez Prusaków. W bitwie pod Maciejowicami dowodził Kniaziewicz lewem skrzydłem i najdłużej przeciągał walkę. Wzięty do niewoli, przebywał za poręką na Ukrainie, a następnie w Lubelskiem, skąd przez Niemcy i Szwajcaryę przedarł się do wojsk francuskich we Włoszech (1797), gdzie Dąbrowski tworzył legiony. Otrzymał od Bonapartego dowództwo nad legionem pierwszym, z którym czynny brał udział w operacyach armii francuskiej przeciw Rzymowi i Neapolitańczykom (1798), odniósł zwycięstwo pod Magliano (1 grudnia) i wraz z Dąbrowskim zdobył Gaetę. W nagrodę tych czynów wysłał go wiosną (1799) wódz naczelny generał Championnet w zaszczytnej misyi do Paryża, by złożył dyrektoryatowi 60 zdobytych chorągwi. Tu doznawszy jak najświetniejszego przyjęcia, otrzymał Kniaziewicz honorową szpadę z napisem: *Dyrektoryat w nagrodę zasług.* Z upoważnienia rządu francuskiego zorganizował nowy legion nadreński, na którego czele dokonał wielu świetnych czynów pod Berghem, Bornheim, Offenbach, Frankfurtem, a zwłaszcza Hohenlinden. Po zawarciu pokoju w Luneville (9 lutego 1801), zawiedziony w swych nadziejach, nie chcąc być dalej narzę-



Kniaziewicz Karol, generał polski.

dziem w ręku Bonapartego, opuścił służbę wojskową, wrócił do kraju i osiadł na Wołyniu, gdzie wziął od księcia Eustachego Sanguszki w dzierżawę wieś Zieleńce, ze szczególnem upodobaniem zajmując się pszczelnictwem, a owocem tych zajęć była książeczka p. t. „Dwuletnie doświadczenia“ (Berdyczów 1807). W r. 1803 otrzymał znaki komandorskie legii honorowej. Cenił go wielki książę Konstanty, a w pierwszych miesiącach 1807 r. zasięgał w swej kwaterze w Tawrogach jego rady cesarz Aleksander I, noszący się ze swemi zamiarami względem Polski, i zakończył rozmowę z nim słowami: „Szacowałem cię, generale, teraz więcej cię jeszcze szacuję.“ W r. 1810 ożenił się Kniaziewicz w Szpanowie na Wołyniu z bogatą wdową Stecką, która wkrótce umarła. Mimo urazy do Napoleona wstąpił do wielkiej armii 1812 r.; pomieszczony z początku w sztabie generalnym króla westfalskiego, otrzymał następnie dowództwo nad 18 dywizyą 5 korpusu, złożonego z Polaków; odznaczył się pod Smoleńskiem, nad Moskwą i Berezyną. Ranny w tej ostatniej bitwie, przepędził rok 1813 w Krakowie i u wód w Lubieniu. Gdy po przystąpieniu Austryi do koalicyi, znajdujący się w jej krajach wojskowi polscy zostali uważani jako jeńcy wojenni, Kniaziewiczowi pozwolono wybrać miejsce dobytu; osiadł więc w Tarnowie i tam końca wojny się doczekał. Po upadku Napoleona przybył do Warszawy i zasiadał w komitecie wojskowym, który pracował nad utworzeniem armii dla Królestwa kongresowego. Nie wziął w niej jednak żadnego udziału; usunął się za granicę, i osiadł stale w Dreźnie (1817), pozostając w stosunkach serdecznych z krajem, ale do niczego się nie mieszając. Po odkryciu spisku 1825 zażądano wydania Kniaziewicza jakoby spólwinnego. Rząd saski nie zgodził się na to, ale zarządził śledztwo i aresztował generała. Po 8-miesięcznem więzieniu w Königsteinie, uznany za niewinnego i wypuszczony na wolność, podziękowawszy królowi saskiemu za opiekę, osiadł w Dreźnie. Prawie 70-letni już starzec w r. 1831 został wezwany do Paryża, gdzie otrzymał misyą dyplomatyczną, ale wkrótce się rozczarował. Umarł w stolicy Francyi 1842 r.; pochowany z honorami wojskowemi na cmentarzu Montmorency obok J. U. Niemcewicza. W wolnych chwilach zajmował się Kniaziewicz sztuką malarską. Początkowo robił miniatury, później zaś krajobrazy olejno, gwaszami i akwarelą. Oprócz wymienionego wyżej dziełka (1807) napisał znane powszechnie dzieło, niewielkie rozmiarami, ale bardzo ciekawe ze względu na myśl w niem zawartą, wydane siedmiokrotnie. Kniaziewicz nie zostawił wprawdzie pamiętników, naglony jednak przez przyjaciół, w ostatnich latach życia napisał autobiografię

złożoną zaledwie z kilkunastu kart, ale zawierającą niejeden rys ciekawy i charakterystyczny. Dziejopis Teodor Morawski osnuł na niej obszerną i poważną pracę a Stefan Witwicki, spędzając z Kniaziewiczem lato w Montmorency, spisywał swoje z nim rozmowy.

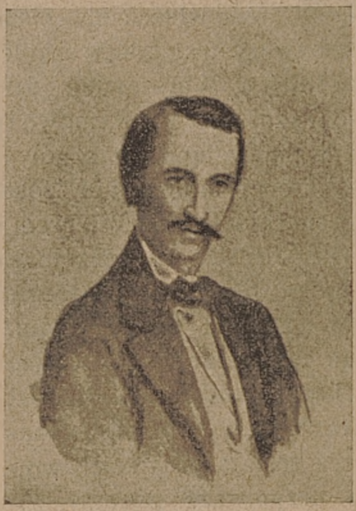
E. P.



Lirnik mazowiecki.

(Do illustracyi.)

Lenartowicz Teofil, poeta polski, urodził się 1822 r. w Warszawie. Syn niezamożnych rodziców, po ukończeniu szkoły powiatowej wszedł w 14 r. życia jako dependent do kancelaryi adwokata; zkąd w 1837 r. przeszedł jako aplikant do b. sądu najwyższej instancyi i tam po trzech latach otrzymał posadę kancelisty. Szczupły zasób wiadomości, w szkołach nabytych, starał się uzupełnić przez ten czas pracą własną. Pierwsze swe próbki poetyczne pomieszczał w *„Nadwiślaninie,“* noworoczniku wydawanym przez grono młodych, bogatych w serce i dobre chęci jedynie, literatów, jak Wł. Wolski, Filleborn, Roman Zmorski i ini. Opuściwszy kraj w r. 1848, mieszkał Lenartowicz długi czas w Krakowie i Poznaniu, w Krakowie ogłosił drukiem „Ziemia polska w obrazach“ (1848, I i II cz.), oraz „Cztery obrazy.“ Na rok przedtem we Lwowie wyszedł jego poemat pod tyt. „Przedstawienie pierwsze Hamleta;“ udał się następnie do Paryża, a wreszcie (1854) do Włoch, gdzie zamieszkał (we Florencyi). W r. 1861 ożenił się z Szymanowską, siostrą przyrodnią żony Mickiewicza. W czasie pobytu za granicą, ogłosił drukiem zbiór swoich dawniejszych poezyi, pt.: „Lirenka“ (Poznań, 1851); „Światek mały“ (tamże, 1851); „Wygnańcy do narodu“ (Paryż, 1856); „Nowa lirenka“ (Poznań, 1857); nowe po opuszczeniu kraju napisane utwory. „Szopka“ (Wrocław, 1849). Talent *L.* zajaśniał teraz w całej pełni, objawiając oryginalność poety nie idącego za żadnemi wzorami, lecz tylko w własnem sercu, głębokiej, a prostej wierze, tudzież miłości i znajomości ludu czerpiącego treść i formę swoich utworów. To też największej popularności dostąpiły utwory z życia i wierzeń ludowych zaczerpnięte, jak np. „Zachwycenie“ i „Błogosławiona“ (Poznań, 1855); tudzież znane powszechnie „Wiochna“ i „Kalina“. Słabszemi znacznie są utwory przeważnie religijnego charakteru, jak: „Święta Zofia“ (Poznań, 1857); „Najświętsza Panna Marya Studzieniecka“ (Warszawa, 1857); „Żywot Jana Chrzciciela“ (Warszawa, 1862) i zbiorek drobniejszych utworów p. t. „Nowa lirenka“ (tamże, 1859). Jednocześnie w Paryżu ukazali się: „Gladjatorowie“ (1857); „Sowiński“ (Lwów, 1859); „Bitwa Racławicka“ (Paryż, t. r.). Następnie wydał nast. prace: „Poezye w II częściach“ (Warszawa, 1858); „Cesarz“ (Poznań, 1861); „O polskim naczelniku Kościuszce i o Racławickiej bitwie“ (Lipsk, 1863); „Poezye“ (tom I i II, Poznań 1863); „Album włoskie“ (Lwów, 1864); „Polskie śluby“ (Poznań, 1865); „Wiersz na rocznicę zgonu T. Kościuszki“ i wiersz „Orzeł“ (Bendlikon, 1865); „Anioł ziemi“ (Lipsk, 1866); „Estera“ (libretto opery w rękopiśmie); „Ze starych zbroic“ (Lwów, 1870); „Do artystów polskich w sprawie muzeum w Rapperswylu“ (Drezno, 1871); „Echa nadwiślańskie“ (Poznań, 1872). W następnych czasach, mimo ciągle wzmagającej się choroby piersiowej, Lenartowicz nie tylko, że pisał dużo, ale poświęcał się z powodzeniem rzeźbiarstwu i miewał we wszechnicy bolońskiej odczyty z dziedziny literatury polsko-słowiańskiej. Działalność jego poetyckiej duszy inny przybrała charakter, porzucił sielankowe postacie ludowe, a bierze albo osobistości i wydarzenia dziejowe za przedmiot swoich utworów, albo też kreśli swe osobiste wrażenia. Kolejno pojawiają się: „Wybór poezyi“ (tomów IV, Kraków, 1876); „Jagoda“ (Warszawa 1880); „Chorągiew słowiańska do grobu św. Cyryla w Rzymie“ (Lwów, 1881); „Rytmy narodowe“ (Lwów, 1881); „Złote serce“ (Kraków, 1882); „Cienie syberyjskie“ (Lwów, 1883); „Sobiesciana“ (Kraków, 1883); „Hymn na cześć zwycięzcy z pod Wiednia“ (tłómaczenie, Lwów, 1883); „Pamięci Adama“ (*Kraj*, Petersburg, Nr. 46 z 1885 r.); „Sul carratere della poesia polonoslava“ (Firenze, 1886); „Słowo o Bohdanie Zaleskim“ (Lwów, 1889); „Trzeci maja“ (Kraków, 1891). Po śmierci poety wyszły: „Poezye,“ (wydanie pośmiertne, tom I i II, Lwów, 1895); „Wybór poezyi, wydanie miniaturowe z portretem autora“ (Petersburg, 1895); „O królu Popielu i o myszach“ (Lwów, 1895); „Sędziowie



Teofil Lenartowicz.

ateńscy“ (tamże, t. r.). Prócz innych, w *Bibliotece Warszawskiej* pomieścił Lenartowicz ustępy ze swego poematu „Niemcy i Chrobaty“ i wykończył wieki, filozoficzno-społecznego charakteru utwór dramatyczny, p. t. „Cielec złoty.“ Pracował również nad przekładem „Boskiej komedyi.“ Niektóre poezye Lenartowicza zostały przełożone na język włoski i wydane p. t. „Poesie Polacche di L. recate in versi italiani da Ettore Marcucci“ (Florencya, 1871). Umarł 1893 we Florencyi, zkąd zwłoki jego sprowadzono do kraju i złożono w krypcie na Skałce.

E. P.

Nowy nastrój.

Po chałupach w noc zimową
Kołysałem dzieci,
Teraz śpiewak z piosnką nową
By ptaszek podleci.

I zadzwoni struna głośniej,
Jak Bóg żywy w niebie,
Rośnij-że mi serce, rośnij,
Ojczyzno dla ciebie.

Alboż ja to zapomniałem
Moją Polskę drogą?

Alboż ja tam nie kochałem
Nikogo? nikogo?

Alboż mnie tam nikt na świecie
Myślą nie przypomni?
Alboż mnie tam żadne dziecię
W modlitwach nie wspomni?

A zkąd-że mnie dochodziły
Westchnienia więzienne?
Z czego mnie się dnie złożyły
I marzenia senne?

Z jednej Polski, z jednej ziemi,
Z jednego zakątka,
Między braćmi wygnańcami
Ja mała pamiątka.

Co zaśpiewam, krajem wieje
Jak wiatr z naszej błoni,
To boleści, to nadzieje,
To szczęk naszej broni.

Może-ć Pan Bóg mi pozwoli
W nasze lasy wrócić
I przyjaznym sercom kwoli
Przy ognisku nucić.

Gdy w Ojczyźnie nie usłyszy
Ni wrzawy, ni jęku,
Tylko jedną piosnkę ciszy
I ptaka w okienku.

I organy po świątyniach,
Gdzie lud Bogu śpiewa,
I śmiech dziewcząt przy krynicach,
I szumiące drzewa.

Wtedy! wtedy lecz to jeszcze
Daleko.., daleko...
Szumią polskie skrzydeł wieszcze
Po nad czasu rzeką.

A co w czasie? o niejedno
Serce się zatrwoży,
I niejedne lica zbledną,
Przy świecącej zorzy.

I niejedno, bracia wierni,
Serce bić przestanie,
Niejeden się krzyż zaczerni
Na ojczystym łanie.

Wszystko, wszystko, w bożej dłoni,
Ja patrzę w niebiosy,
I wiem, że mnie tam zadzwoni
Dziadek siwowłosy.

I że z tymi spocznę razem,
Co skończyli dzionek,
I że gniazdko pod mym głazem
Uwije skowronek.

A gdy wiosny powiew świeży
Wzbudzi kwiatów roje,
Nad dolinę ptak wybieży
Jak te myśli moje.

Teofil Lenartowicz.

Znakomity kapłan i publicysta.

(Do illustracyi).

Ksiądz Towarzystwa Jezusowego, Jan Badeni, wywodzący się z tego samego, co minister głośnego rodu, urodził się 1858 r. w Król. Polsk. Ukończywszy studya gimnazyalne w konwikcie o. o. Jezuitów w Tarnopolu, wstąpił w r. 1873 do tegoż zakonu, a w roku 1885 odebrał święcenie kapłańskie w Krakowie. Zdawszy egzamin z filozofii i teologii, który odpowiada stopniowi doktoratu, wyjechał na dalsze kształcenie się za granicę, W jesieni r. 1896 wybrany został superjorem zakonu o. o. Jezuitów we Lwowie, a w kwietniu r. 1897 prowincyałem galicyjskiej prowincyi. Od wczesnej młodości *B.* zdradzał zamiłowanie do historyi i literatury, to też



Ksiądz Jan Badeni.

studyom, wiodącym do niej, oddawał się z zapałem. Owocami tego są liczne dzieła, szkice, studya i rozprawy treści religijno-historycznej i socyalnej. Przez długie lata był współpracownikiem redakcyi *„Przeglądu Powszechnego,"* który zawdzięcza mu bardzo wiele cennych rzeczy. Z publicystycznej niwy, na której *B.* gorliwie pracował i pracuje, zasługuje na wybitne zaznaczenie zajęcie się jego ruchem socyalistycznym, ludowym i radykalnym w Galicyi, a dwie broszury jego w tej materyi zawierają sporo materyału do ocenienia tego, dziś na dobie będącego ruchu. Brał też wielce czynny udział w zjeździe katolickim, w r. 1896 we Lwowie odbytym. Z pomiędzy prac jego zasługują na szczególną wzmiankę: „Żywot św. Ignacego," „św. Stanisława Kostki," „ks. Antoniewicza," dalej „Błogosławieni męczennicy angielscy," „Op. koronacyi cudownego obrazu Matki Bozkiej w Starej Wsi w r. 1877" i szkic historyczny „O św. Albercie Wielkim." Z rozpraw i broszur treści świeckiej napisał: „Maria Zell," „Między Słowianami," „Z wycieczki na Górny Slązk," „Walka przeciw niewolnictwu," „Robotnicy polscy w Saksonii," (1889); „Emigracya ludu polskiego do Niemiec," „Polacy w Anglii" (1890); nadto wydał „Kazania" ks .Karola Antoniewicza ,2 t., „Kazania" i „Obrazy z galeryi życia mego" ks. Chołoniewskiego i jego biografię (1890).

E. P.

Jesień.

Pędzących czasów stałą koleją
Mijają lata i wieki...
Złamane serca życia zawieją
Wśród fali wspomnień mkną rzeki.

Jaśnieje szczęście — szczęście uchodzi
Ginąc w pomrokach przeszłości.
Niknie nadzieja — nicość się rodzi
I życie gaśnie ludzkości.

Więdnieje róża — kolce zostają
Nietknięte dłonią zniszczenia.
Rodzi się gorycz — lata mijają
Na chyżej barce wspomnienia.

Chwila za chwilą w wieków pomroce
Ginie na zawsze, na wieki,
I kiedyś czarne przeszłości noce
Cały świat wchłoną daleki.

* * *

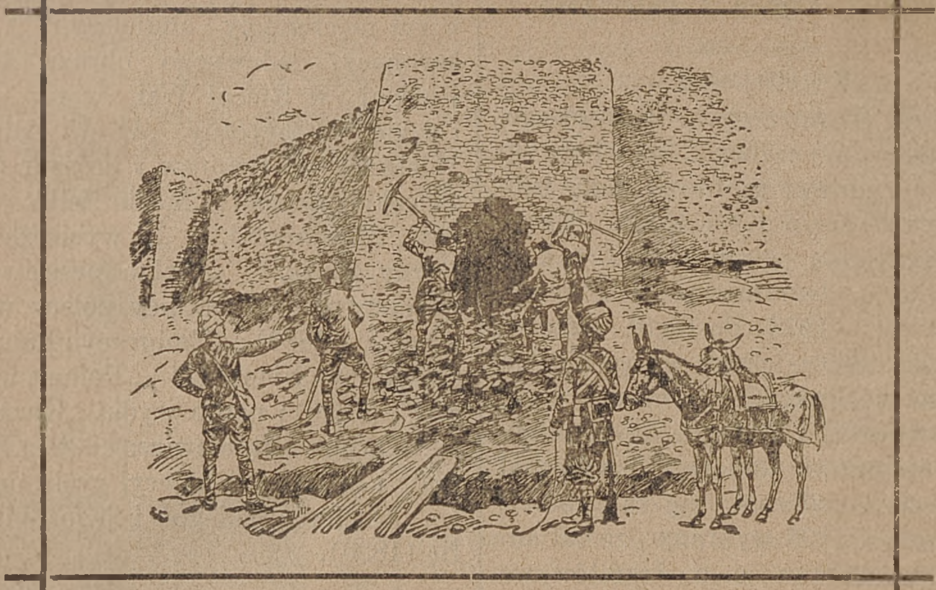
Pod zimnem tchnieniem jesiennej pory
Prysnęły lata uroki,
Owe przecudne letnie wieczory
Mgławe rozwiały pomroki.

Razem z jaskółki lubym świegotem
Zniknęły barwy zieleni;
Z drzew złote listki legły pokotem,
Podcięte kosą jesieni.

Chmury pokryły niebios błękity
I słonka skryły promienie...
Do dni latowych uroczej świty
Stęsknione wraca wspomnienie.

Kiedyż wśród ciszy letniego mroku
Znów nam skowronek zanuci,
Kiedyż czarowna pora uroku
Kiedyż, ach kiedyż powróci?

Jan Koraszewski.



Rozbijanie warowni Taku.

To była wojna!...

(Do illustracyi.)

Piotr Loti, znakomity pisarz a zarazem oficer marynarki, wysłany został podczas wojny chińskiej z francuską wojskową misyą z Taku do Pekinu. Co po tej drodze widział, jest przerażającem.

Więc najpierw pisał z Taku: „Płynęliśmy w górę rzeki wodą bagnistą i cuchnącą, po której zwłoki ludzkie i ścierwo zwierząt wśród fal się kłębiły. Po obu stronach rzeki przedstawiał się nam w świetle zachodzącego słońca straszny obraz spustoszenia: same ruiny, zgliszcza, pustka. Okręt nasz przybija do brzegu. Przed nami dzielnica miasta cała w gruzach, a nad niemi sztandar francuski.... Na płaszczyźnie bez końca rozciąga się to olbrzymie miasto, zniszczone i czarne, a bije od niego woń zarazy i śmierci.

W centrum miasta odbudowano małą uliczkę; wystawiono jakieś budy z cegły, ze szlamu, desek i blachy. Mieszczą się w nich podejrzane lokale i szynki. Mieszkańcy wszystkich ras, którzy — Bóg wie — skąd przybyli, sprzedają tu żołnierzom absynt, solone ryby i zabójcze likiery. Tu się żołdactwo upija, a potem... nóż jest w robocie. Oprócz tej niby odbudowanej uliczki, z całego Taku nic nie ma. Same tylko gruzy murów z rozbijanej warowni Taku, na pół spalone domy i dachy, kupy popiołu i ogromne kałuże okropnego błota, wśród którego obok przeróżnych łachmanów leżą zdechłe psy i ludzkie głowy.“

Loti popłynął dalej do Tientsinu i Tongczau i z tego ostatniego miasta tak opowiadał:

„Jesteśmy w Tongczau, mieście niegdyś nieskazitelnej czystości, mieście olbrzymiem i ludniejszem, aniżeli którekolwiek z wielkich miast Europy. Dziś nie ma z tego wszystkiego nic, tylko ruiny i zgliszcza. Widzi się tylko zwycięzców-żołnierzy, tabory wojskowe. Sztandary wszystkich państw wznoszą się nad gruzami, a ostry wiatr, który miecie zgniłym kurzem, wydającym woń śmierci, rozwiewa te sztandary, igrając z ich jaskrawemi barwami.

Jakie okropności w tem mieście widziałem, przechodzi pojęcie ludzkie. Najpierw byli tu bokserowie i ci tu otrzymali pierwsze uderzenie zemsty sprzymierzonych wojsk. Potem przyszli Iapończycy, naprawdę bohaterscy mali żołnierze, którzy jednak niszczyli i mordowali, jak niegdyś wojska barbarzyńców. A potem Anglia przysłała swą straszną jazdę indyjską, a potem Ameryka swych żołdaków najemnych. Wszystko to dyszało zemstą. I tak nie pozostał już kamień na kamieniu, gdy przybyły później inne wojska: włoskie, austryackie, francuskie.

W otoczeniu mej eskorty wyszedłem na obejrzenie miasta. Straszne rzeczy widziałem. Wszedłem w jakąś ulicę, która niegdyś musiała być śliczną. Na resztkach ruin widać jeszcze piękne rzeźby i złocenia fasad. Tu znajdowały się magazyny fabryk porcelany z Kantonu. Teraz wszystko zniszczone. Ulicą idzie się po kosztownej, pobitej na drobne kawałki, emalii, i mimowoli pytam się siebie, kto i po co zadawał sobie tyle trudu, aby te wszystkie prześliczne rzeczy niszczyć kolbą i bagnetem. W jednem podwórzu, do którego wszedłem, widziałem coś przerażającego. Oto wynędzniały pies z pod stosu pobitych talerzy wyciągnął zwłoki malutkiego dziecka z rozszczepioną głową i począł ogryzać jego nóżęta. Obecnością naszą się nie odstraszył.

W tych domach i ogrodach widać rzeczy takie, że serce się kraje. Tu leży mała lalka, która prawdopodobnie należała do tego dziecka, leżącego z rozłupaną główką opodal na stopniach schodów. Wszystko podarte, połamane, pobite, leży rozrzucone, jak gdyby te reszki ktoś rozsiał. Na okół leżą powyrzucane z szaf i stołów papiery, suknie z dużemi krwawemi plamami, małe chińskie buciki damskie, krwią poplamione, a to wszystko wespół z poodcinanemi ludzkiemi rękami, nogami, głowami. W jednej altanie, zarośniętej jakiemś prześlicznem kwieciem, zobaczyłem zwłoki młodej, pięknej kobiety z otwartą bagnetem piersią. W domu, należącym niegdyś widocznie do zamożnej rodziny, z jednej szafy, wyjątkowo w całości zachowanej, zwisały dwie nogi ludzkie; reszty korpusu nigdzie nie było.

Powróciłem do swej kwatery. Tu żołnierz, którego po prowianty posłałem, opowiadał mi, że żołnierze nieprzyjacielscy rozłożyli się obozem na cmentarzu i tam otwierają groby, szukając pieniędzy, które Chińczycy zwykli wkładać swoim zmarłym do trumny....

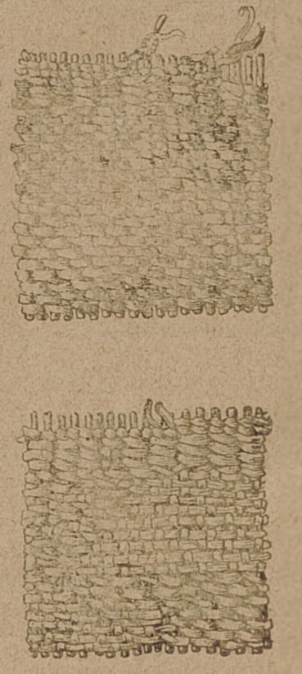
W ten sposób szerzoną jest cywilizacya!“

Z.

Koszykarstwo u Indyan amerykańskich.

(Do illustracyi).

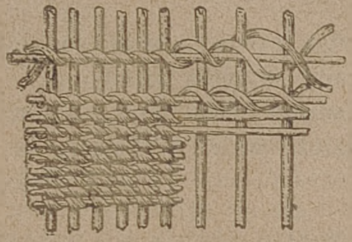
Przemysł domowy wśród Indyan amerykańskich niegdyś bardzo był



Plecionka koszyka indyjskiego.

rozwinięty, czego ślady i dowody znajdują się w wykopaliskach, zwłaszcza w Kalifornii, Meksyku oraz Peru

i Chili. Powoli jednak wraz z upadkiem rasowym zaczął się i upadek ekonomiczny. Dziś jednym z najgłówniejszych działów przemysłu domowego wśród Indyan Ameryki północnej jest koszykarstwo. Wyroby koszykarskie Indyan są tak oryginalne, zarówno co do sposobu robienia, jak i co do wyglądu zewnętrznego, iż na pewno twierdzić można, że jest to zabytek z dawnych umiejętności, jakiemi Indyanie się odznaczali.



Sposób plecenia koszyków indyjskich.

Szczególnie piękne są plecionki Indyan Pomo, zamieszkałych w Kalifornii. Zazwyczaj koszyki mają tam formę okrągłą i przyozdabiane są pasami barwnemi. Koszyki indyjskie mają formy najrozmaitsze, wykonane zaś bywają z wierzby, korzeni sosnowych lub ze słomy ryżowej albo owsianej.

Wyroby koszykarskie Indyan, dzięki swej oryginalności, są ozdobą muzeów nietylko amerykańskich, ale i europejskich.

—ski.

Sztuka długiego życia.

Pewna dama zapytała Palmerstona, w którym roku mężczyzna jest w wiośnie swego życia?

— W siedmdziesiątym — odrzekł. — Ja zaczynam ośmdziesiąty i zdaje mi się, iż przekroczyłem trochę granicę.

Głośny minister, który potrafił zachować świeżość ciała, umysłu, a przedewszystkiem serca aż do końca swej długiej i sławnej karyery, przecinał ze zwykłą sobie niedbałością wątpliwości tak dawne, jak historya rodu ludzkiego. To odkładanie do nieskończoności godziny odpoczynku było bezwątpienia bardzo naturalne u męża stanu, którego siły intelektualne rozwijały się z latami, i którego rzeźka starość chlubiła się awanturami miłosnemi, fatalnemi dla ministrów młodszych od niego. Trzeba tu jednak nadmienić, iż doktryny najpopularniejszego z doradzców królowej Wiktoryi były najzupełniej sprzeczne z doktrynami Arystotelesa.

Nauczyciel Aleksandra oznaczył 45 lat, jako granicę, na której zatrzymuje się rozwój sił człowieka i pojawiają się pierwsze oznaki wyczerpania. Więcej pozornie litościwa od filozofa ze Stagiry nauka spółczesna, w rzeczywistości nie daje żadnych pocieszających wskazówek dla nieszczęśliwych, którzy wstąpili w okres wieku dojrzałego. Doktór John Gardner, który napisał o długowieczności uczoną, tomową pracę, twierdzi, iż początek starości przypada na rok sześćdziesiąty trzeci.

W kwestyi tej można z wielkiem powodzeniem posiłkować się statystyką. M. C. Walford w swym „Przewodniku ubezpieczeń'' przytacza listę dwustu osób, z których najmłodsza zmarła w 120 roku życia. Amerykanin, Józef Perkins, napisał książkę w tej samej sprawie i zacytował z czasów przeszłych i obecnych nazwiska dziesięciu tysięcy ludzi, którzy przeżyli setkę lat. Te pocieszające cyfry pozwalają nam wierzyć w nadzwyczaj długie życie, które przyzwyczailiśmy się zaliczać do legend. Po długich i pracowitych poszukiwaniach, dziekan Stanley odkrył w opactwie westminsterskiem nagrobek Tomasza Parra, urodzonego w roku 1483, zmarłego w r. 1635, czyli liczącego w chwili śmierci 152 lata. Ten Matuzal rasy angielsko-saksońskiej żył pod panowaniem dziesięciu królów Anglii.

Hrabina Desmond doszła prawie do takiegoż późnego wieku. Lord Bacon, arcybiskup Ulster i sir Wiliam Temple jednozgodnie świadczą, iż ta



Koszyk Indyan amerykańskich.
Widok boku.

dostojna pani zmarła w stoczterdziestym roku życia, w ciągu którego widziała na tronie prawie tyluż królów, ilu Tomasz Parr. Opatrzność udzieliła jej o dwanaście lat życia mniej, niż jej rywalowi w długowieczności.

Na nieszczęście wypadki, podobne opisanym, są bardzo rzadkie, i dziś po większej części egzystencya każdego człowieka jest niczem innem, tylko nieustannem przyśpieszaniem sa[...]stwa. Gdybyśmy mieli o zdrowi[...] starania, ile o swym zegarku, wsz[...] dożylibyśmy wieku bardzo późneg[...] Omyłka nasza polega na przekonaniu, że organizm ludzki może odnawiać się sam do nieskończoności i wymaga mniej baczenia od przyrządu zegarowego.



Koszyk Indyan amerykańskich.
Widok spodu.

Sir Beniamin Richardson miał pewnego razu ze znajomym sobie mechanikiem długą rozmowę, która podsunęła mu refleksye niezmiernie interesujące. Robotnik ten był przeznaczony do dozorowania maszyny parowej, funkcyonującej bez przerwy od lat kilkudziesięciu. Przez ten czas zmieniło się przy niej ośmiu ludzi, którzy pomarli w skutek chorób lub wyczerpania sił, a maszyna nad którą czuwali, znajdowała się w stanie tak dobrym, jak pierwszego dnia. Czterech z owych dozorców padło ofiarą własnego nieumiarkowania, dwóch odpokutowało za nadużycia popełnione w młodości, jeden zmarł z powodu wyczerpania sił, podjąwszy się robót dodatkowych, ostatni zakończył życie z powodu wypadku, wywołanego własną nieostrożnością.

Tymczasem maszyna funkcyonowała z nieposzlakowaną regularnością i przeżywała ludzi, przeznaczonych do czuwania nad nią. Gdyby ośmiu mechaników w użyciu swego czasu, wyborze pożywienia i pracy kierowało się tą samą zasadą, jaką zachowywali przy doglądaniu maszyny, nie byliby złożyli w kwiecie wieku, daniny śmierci.

Ci, którzy mają ochotę pozostać zawsze młodymi, powinni bardzo wcześnie postawić swą kandydaturę na ludzi stuletnich. Długowieczność nie jest rzeczą przypadkową i nie można jej wygrać, biorąc bilet na loteryę w ostatniej chwili.

Człowiek nie powinien czekać na pierwsze symptomaty upadku i dopiero wówczas zaprowadzać systematycz-

...o życia codziennego. Anglicy ...zwyczaj mawiać, iż nadużycia ...ności są to bilety kredytowe, płat... we trzydzieści lat później z nagromadzonemi procentami.

Anonimowy współpracownik Chambors Journal pytał pewnej damy, która w pięćdziesiątym roku życia zachowała giętkość kibici i świeżość cery i wydawała się młodszą od córki, jakim sposobem zdołała się oprzeć niszczącym wpływom czasu? Odpowiedziała mu, iż wychowywała się na świeżem powietrzu na wsi, że rumieńce jej twarzy nie blakły w niezdrowej atmosferze balów i że jej żołądka nie rujnowały nocne kolacye, tak ciężkie do strawienia.

Pewien młody człowiek pytał dziewięćdziesięcioletniego starca, jakim cudem mógł zachować czerstwe zdrowie w wieku tak późnym? Starzec obrócił się w stronę swego ogrodu i, wskazując na rosnące tam jabłonie, rzekł: „Te drzewa sadziłem w mej młodości i pan się dziwisz, iż dozwolono mi zbierać owoce, któremi są okryte. To, cośmy zasieli za młodych lat zbieramy na starość.‟

O ile nie posiadamy wad i chorób od urodzenia, skazujących nas na odpokutowanie za winy przodków, trzech lekarzy zawsze może nas doprowadzić do kresu długowieczności ludzkiej. Tymi trzema nieomylnymi lekarzami, których rad rzadko obecnie słuchamy, są: umiarkowanie, świeże powietrze i ćwiczenia. Słuchając rad tych trzech wielkich mistrzów od najwcześniejszej młodości, możemy dojść do podeszłego wieku, nie odczuwając zbyt silnie ubytku sił. Prawie wszyscy ludzie dają się zaskoczyć niespodzianie pierwszym atakom starości i za późno szukają lekarstw na przypadłości, których nie starali się uniknąć wcześniej. Jedni godzą się bez oporu zostać starymi i wpadają w całkowite odrętwienie zarówno ciała, jak i umysłu, pod pretekstem późnego wieku odsuwają od siebie wszelką pracę i dają zapanować nad sobą wszelkim przywarom swego charakteru. Inni wpadają w drugą ostateczność i probują łudzić samych siebie, oddając się zatrudnieniom swej pierwszej młodości. „Cyceron lubi widzieć w młodzieńcu coś ze starca, a w starcu coś z młodzieńca.‟ Na nieszczęście z dzieła „De senectute‟ nie można dowiedzieć się, do jakich granic powinni dochodzić ludzie obarczeni wiekiem w tej powrotnej wędrówce.

Niedawno pisarz angielski Matthew Arnold chwalił się, iż zapobiega skutecznie odrętwieniu starości, przezwyciężając wszelkie przeszkody; pewnego dnia padł, jak długi, przeskakując płot. Podobny upadek według wszelkiego prawdopodobieństwa nie pociągnąłby żadnych groźniejszych następstw dla dziecka, lecz był śmiertelnym dla sześćdziesięcioletniego człowieka.

Ci, którzy od pierwszych lat młodości byli o tyle roztropni, iż utrzymywali w nieustannym ruchu swój umysł i ciało, zachowują prawie zawsze swe siły intelektualne i nie doświadczają niepokojących symptomatów starzenia się. Stary cesarz Wilhelm, jeżdżąc codziennie konno, zaczął uczuwać zmęczenie przy siedzeniu na siodle dopiero w ośmdziesiątym siódmym roku życia. Ośmdziesięcioletni lord Palmerston zadziwiał otoczenie świeżością swej pamięci. Gladstone, urodzony w r. 1809, nie przestawał ścinać siekierą drzew w swym parku i prawić długich i pełnych zapałów mów przy każdej okazyi.

Ludzie nieopatrzni, którzy oczekują nadejścia starości, by obronić się przeciwko jej uściskom, powinni być bardzo ostrożni w wyborze środków, używanych do walczenia ze złem zadawnionem. Nie wątpliwie czynią dobrze, powracając do ćwiczeń fizycznych, oddawna zaniedbanych, lecz nie powinni nabierać przesądnego pojęcia o swych siłach.

Maszyna, która sir Beniaminowi Richardsonowi nasunęła tyle słusznych uwag, pozostała nowa jak była pierwszego dnia, dlatego, iż nie ustawała w produkowaniu tej samej ilości pracy co dzień od lat kilkudziesięciu. Przeciwnie, gdyby usiłowano puścić w ruch maszynę zrujnowaną, można być prawie pewnym, iż nastąpi wypadek, jeżeli będą wymagać od niej wysiłków, do których nie jest zdolna. Chcąc jej używać, należy obchodzić się z nią z wszelką ostrożnością. To samo odnosi się do maszyny, zwanej... ciałem człowieka.

Z.

Dumka wygnańca.

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.
Nawet kwiatki takież prawie,
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnej trawie,
I bławatki rosną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał: żem już w kraju.

Jaka cicha szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje,
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy,
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone,
Chmurna losów moich gwiazdo
Gdzież mnie wiedziesz, w którą [stronę?

Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty
Nieutulne łzy tułacze,
Może jeźli dzień przepłaczę
Noc przyniesie mi sen złoty.

Teofil Lenartowicz.

Czarna dola.

Z tematów emigracyjnych

przez

Leokadyę Wierusz-Kowalską.

Maryna, nie smuć się, zobaczysz, jak dobrze nam będzie...

— I tutaj, chwalić Boga, nie brakuje nam chleba.

— Prawda — potwierdził mąż — ale ciężko wyżyć z tego gruntu, co mamy — a dzieci pięcioro! Pracuj i pracuj, a nigdy grosza nie uciułasz.

— A czy tam w ramki cię osadzą?

— Mówiłem ci to nie raz i jeszcze powtarzam, że jak tylko tam przyjedziemy, dostanę włókę pszennego gruntu, dwie lasu, pół włóki łąki i dwadzieścia morgów wygonu... Nie chałupę, ale dwór na pomieszczenie: dwie stodoły, komora na zboże, wozownia, stajnia, obora i owczarnia... Wszystko będzie po szlachecku... Tam paszy nie brakuje i mogę chować dobytku, ile mi się podoba, a trzody, kur, kaczek i gęsi będziesz miała jak maku!... Do roboty są ludzie czarni, którzy za łyżkę strawy wszystko koło gospodarstwa zrobią...

— A czemuż to ci czarni ludzie ziemi tam nie mają, kiedy jej tak dużo?...

— Bo im rząd dać ziemi nie chce, przez to, że oni głupi i sami się rządzić nie umieją, jeno muszą być zawsze pod panowaniem ludzi białych.

— A kościół jest tam, gdzie jedziemy?

— Jeszcze jaki śliczny! Cały w środku złotem obijany... Trzeba ci wiedzieć, że w Brazylii złoto kopią, czasami na wierzchu... w piasku je znajdują...

— Mnie ino dziwno, Stachu? skąd ty wiesz to wszystko?...

— Od Moryśkiewicza. Powiadam ci, pan on wielki. Ludzi wódką i harakiem częstuje, do Brazylii namawia.. bo on sam stamtąd pochodzi... Opowiadał, że tam bardzo dobrze!... A jak ci dostał zegarek, to ludzie gęby pootwierali: rychtyczek tyli, co rzepa — całuśki złoty. Mówił Moryśkiewicz, że tę gałę złocistą, z której zrobiony zegarek, w Brazylii w piasku znalazł...

— Oj, Stachu, Stachu, może to nieprawda, może ino tak kłamie!... Przecież po gazetach piszą i ksiądz proboszcz i państwo ze dwora mówią, że to wszystko fałsz ,brednie... Że ino tam ludzi napędzają, bo brakuje swojaków, na niewolnictwo, do ciężkiej pracy; że mrą z głodu, niewygody, od słonka, co tam piecze, jak szczery ogień, nie mają dachu nad głową...

— Piszą, mówią, bo im tak potrzeba: chcą tu mieć więcej rąk do pracy.. Państwo z państwem trzyma, ale to wszystko bajki ich gadania!... Pojedziemy!...

— A czy kiedy można tu wrócić?...

— Niedługuśko... zbogaceni... na cztery konie... pokrytą bryczką... tutaj powróciewa... Zamiast się cieszyć, ze jedziesz... to ty się lękasz?... Że też to każda baba taka tchórzliwa być musi... Więc żebyś się odrazu wystraszyła, a później uspokoiła, to ci powiem, że wszystek dobytek, chatę, ziemię — już sprzedałem...

— O, mój Jezu! o ja nieszczęśliwa!... — zaczęła płakać, łamać ręce i żale na dobre wywodzić.

— Oszalałaś? przecież nie zostawię tutaj ciebie i dzieci!... Jedziemy wszyscy. Wstydź się, wstydź! Masz babo trzydzieści pięć lat, a głupia jesteś nikiej jaka smarkula!

— O Boże, mój Boże! — jęczała Maryna — a cóż my tam za radę sobie damy?... obcy kraj, obca mowa, inni ludzie.

— Ze mną nie zginiesz!... W Brazylii naszych dużo. Tutaj ciasno i bieda. Nie myśl, że sami pojedziemy, nie. Gromada liczna!... Dziesięć familii... czterdzieści przeszło ludzi!... Pan Moryśkiewicz nie kazał nam wyrabiać pasportów... jeno sam przeprowadzi nas przez granicę, bo on wie, jak to trzeba zrobić... i pojedzie z nami do miasta Bremy.

Tyle oczekiwany dzień podróży nadszedł nareszcie. Jedni wyglądali go z radością — więc niecierpliwie — inni z niechęcią, trwogą i smutkiem; do tych ostatnich należała i Maryna.

Rano, pobiegła do kościoła. Padła krzyżem przed wizerunkiem Chrystusa i płacząc, prosiła Wszechmocnego o zmiłowanie i błogosławieństwo na nową... nieznaną drogę życia.

W ich białej, zacisznej chacie kręcili się już nowi właściciele.

— Jak-że mi żal mojego domostwa!... — wołała Maryna. — Tak mi tu było dobrze, tak mileńko!...

— Nie żałuj swej biedy!... bo na bogactwa... i rozkosze jedziemy...

— Moje kurki siemieniate i gąseczki białe, wy szczęśliwsze, niźli ja... bo jutro was tutaj zastanie — a ja będę heń!... heń!... daleko!...

— Dosyć tego! — wstał, niecierpliwiąc się mąż — chodź! Wszyscy tylko na ciebie czekają...

— Mamusiu — pytał jedenastoletni Wawrzuś — a Burka weźmiewa?...

— Juści pojedzie z nami...

Cała partya zebrana już była; rodzina, krewni, przyjaciele i znajomi z całej prawie wsi żegnali się serdecznie.

Było słychać szlochanie kobiet i płacz dzieci.

— Bądźcie zdrowi! — wołali jedni.

— Jedźcie z Bogiem! — krzyczeli drudzy.

— Bóg da, lepiej wam tam będzie — życzyli inni.

— A ściągnijcie i mnie do Brazylii, jeśli tam dobrze — upominał młody wieśniak. Pozostali i odchodzący jeszcze z daleka całusy i ukłony przesyłali sobie, inni powiewali chustkami. Przy tem rozstaniu niejedna łza stoczyła się po licach, nie jedno serce trwogą i smutkiem zabiło. Maryna przyklękła, podjęła grudkę ziemi i ukryła w woreczku obok szkaplerza.

— Jak tam pomrę, Stachu, to oczy moje zasypiesz tą świętą rodzinną ziemią.

Wszystkim jakoś zrobiło się tęskno i ciężko na sercu.

Każdy klękał, całował z przejęciem ojczystą ziemię i brał jej szczypkę na godzinę ostatnią.

Tomasz, najstarszy z włościan, zanucił „Pod Twoją obronę,“ później „Kto się w opiekę“ i „Wszystkie nasze dzienne sprawy.“

Ludzie, spotykający partyę, mogli przypuszczać, że to idą pątnicy do cudownego miejsca...

Zbliżając się do granicy, zaprzestali śpiewu i cichaczem, pod osłoną ciemnej nocy, częściami — a wszyscy z trwogą w sercach, które biły, jak młotem, przechodzili oną. Moryśkiewicz prowadził znaną drogą... Tomasz zamykał pochód.

Na raz, najniespodziewaniej, zjawia się strażnik pograniczny, Tomasz — ucieka... Pada strzał...

— Jezus... Marya!... padając, krzyknął Tomasz.

Cała partya, już za granicą, słyszała ten okrzyk okropny, ostatni... i pojęła co się stało... jednak o ratunku nie mogło być mowy...

I został stary wieśniak na własnej ziemi... by go w niej pochowano. Nie miał on rodziny, ani jej po sobie nie zostawił. Chciało mu się dziedzictwa brazylijskiego i poszedł po szczęście...

— Miłosierny Boże! jak-że się nam droga nieszczęśliwie zaczęła — szeptały między sobą kobiety.

W jakiś czas zaprzestano żale wywodzić i zapomniano o Tomaszu.

II.

Po uciążliwej podróży, ale dosyć wesoło, z piosenką na ustach i dobrą miną, znaleźli się nasi włościanie w niemieckiem mieście Bremie, nad dużą, bystrą rzeką Wezerą.

— Maryna, Hanka, a widzita, że jest się czemu dziwować... W Brazylii jeszcze piękniej!... A jakie to śliczne miasto... Co tu kominów fabrycznych... To nikiej chojaków w lesie.

— Tyleczko, tatulu — mówiła szesnastoletnia Hanka — ciągiem ino szwargotanie miemieckie słychać.

— U nas nie tak bogato, ale jakoś inaczej — milej, lepiej — zawtórowała tęskno Maryna.

W porcie stały pyszne okręty. Na jeden z nich zabrano wieśniaków.

Z początku sądzili, że odetchnęli swobodniej, spokojniej, że bliżej są już celu swej podróży. W niedługim czasie ulegli innemu uczuciu. Wszyscy prawie pochorowali się na brzydką i przykrą chorobę morską: dzieci płakały, jak jagniątka w owczarni. Nie było mleka słodkiego od czarnych i siwych krówek, nie było obwarzanka, ni piernika groszaka, ni białej pszennej bułeczki; zapasy, jakie kto miał na drogę, już się wyczerpały. Nędzną strawę dawano im na okręcie.

Dzień za dniem przechodzi, ziemi nie widać, tylko woda — nic tylko woda!

Słońce piekło żarem. Dzieci podostawały wyrzutów na twarzy i starzy nie byli wolni od tej nieładnej dolegliwości. Pragnienie pali, wody brakuje, wydzielają jej bardzo oszczędnie, bo morskiej pić nie można: słona i gorzka. Burek dostał się na okręt jako kontrabanda, pod fartuchem Hanki. Psów przewozić nie wolno. Trudno go było ciągle ukrywać. Marynarze, ujrzawszy psa, nie zważając na prośby całej rodziny, uchwycili za

uszy tulącego się biedaka do nóg Hanki — i... wrzucili w ocean...

Pies, płynął czas jakiś i patrzał błagalnie na uciekający przed nim okręt, na którym przed chwilą miał punkt oparcia — i pytał swym uczciwym a nieszczęsnym wzrokiem, za co tak strasznie, bezlitośnie skarany został?... I prosił zmiłowania, pomocy od gospodarzy swoich, którym służył wiernie... Bałwan wpadł na niego... Jeszcze raz pokazał swój łeb bury i zniknął na zawsze przed załzawionemi oczyma stojących na pokładzie okrętu Hanki i Wawrzusia.

— Stachu! — pytała zapłakana Maryna — możeby naskarżyć przed panem kapitanem, na tych hultai bez serca i sumienia, co nasze psisko tak bez litości utopili.

— Ho, ho! co też ci się po głowie roi!... On nie rozumie po naszemu, ino jakoś dziwacznie mamrocze, a możeby się rozgniewał; albo i ci majtkowie, to by nam jeszcze gorzej dokuczali, niżeli teraz.

Śmiała się załoga okrętowa z pokory naszego ludu i obchodziła się z nim ostro i z góry.

Podróż co raz bardziej przykrzyła się wieśniakom. Pytali się wzajemnie:

— Czy już nigdy nie dojedziewa?...

— Czy już nigdy nie ujrzemy ziemi?...

— Może jutro... — uspakajali inni, dla pokrzepienia się wspólnego.

Tymczasem, jutro tak zeszło, jak wczoraj: jedni stracili energię, inni słabi; dzieciarnia chora, kwili i płacze.

Znajdowała się w partyi rodzina Cichoniów z czworgiem dzieci. Jedno z nich zmarło.

Nasi podróżni, zostali przykro zdziwieni, gdy zmarłe dziecko, prawie przemocą odebrano z rąk matki.

Majtkowie zaszyli zwłoki w żaglowe płótno; po bokach przymocowano sztaby żelazne, założono wokoło zwłok linę i spuszczono je do powierzchni wody. Po trzykrotnym sygnale, machina zatrzymała się; zluźniono linę i ciało zsunęło się w głębiny wód.

— Boże Miłosierny! — zawodziła matka — moje dziecko do wody?... O, mój robaczek kochany! O, mój synuś drogi!... Niech was Pan Jezus pokarze i wszystkich potępi.

Cichoń, jak mógł, uspokajał żonę.

Kapitan gniewał się i krzyczał — póty, aż zrozumiano dobrze, że kazał być cicho, ze względu na innych podróżnych, nielubujących się w lamencie i płaczu niedoli.

III.

Nareszcie, po długiej, nużącej podróży stanęli w Rio-Janeiro.

Łodzi od brzegu spieszyło wiele do okrętu, tłoczono się jak zwykle w takich razach.

Nasi, według wskazówek ajenta, czekali na urzędników brazylijskich, mających zabrać ich z sobą. Jakoż zjawili się wyglądani.

Jeden z nich odebrał pismo Moryśkiewicza od Stacha Niwiaka i zabrał ich do miasta.

Zmęczeni, głodni, jakby nie na swoich nogach, szli jednak ochotni, bo czuli, że opieka rządu czuwa nad nimi.. nad ich losem...

— A co Maryna? — pytał z powagą mąż. — Widzisz jak nas szanują?... Sami urzędniki przyjeżdżają po nas, nikiej po jakich jedneralów... Jutro zaraz pojedziewa na wieś... pewnikiem z kumisarzem, i grunt sobie wybierzemy...

I Maryna jakoś otuchy nabrała.

Na ładną jej Hankę panowie urzędnicy spoglądają, śmiejąc się do niej i głaszczą po różowych liczkach.

— Chociażem sam chłop, ale jej za prostaka nie wydam... pójdzie za pana... — myślał głośno Niwiak.

Radość i zadowolenie wieśniaków było jeszcze większe, gdy na drugi dzień, po przenocowaniu w urzędowych koszarach, dano im pieniędzy, motyki... siekiery... i... wyprawiono z przewodnikiem na wieś... do pól zielonych... do łąk puszystych... do chat jasno malowanych...

Po długiej i uciążliwej podróży, Brazylijczyk stanął pośród ciemnego i wielkiego boru, tłomacząc i wskazując na poodznaczane działy lasu...

— Po cóż nam on tę bezludną puszczę pokazuje? — pytali się ze śmiechem wzajemnie.

— Tu pewnikiem *wilki* i *niedźwiedzie,* albo jakie inne bestyje żyją — tłomaczyli, żartując sobie, drudzy. Chciano iść dalej, ale przewodnik się nie ruszył i nie przestał gestykulować, aż zrozumiano... iż tutaj był cel ich podróży...

Nadany kawał lasu, potrzeba wyciąć... wykarczować... dom i zabudowania stawiać...

— Co? tyloletnia znojna praca nas czeka? — pytali zgnębieni.

— Jakże my tutaj damy sobie radę?...

— Jezu ukrzyżowany! — zaczęły zawodzić kobiety — ani domostwa, ani chlewa, gdzie tu głowę na noc przytulić?...

Gruntów pod zasiew nie ma... ani sprzężaju, ani radła ani pługa — biadowali gospodarze...

Skargi te i słuszne wymagania zaczęli przekładać Brazylijczykowi. Ten zrozumiawszy *dobrze* o co chodzi, począł tłomaczyć na migi, że przyszle im dużo koni... bydła... trzody, i ludzi czarnych do pomocy... tymczasem niech zaczynają sami robotę i będą dobrej myśli... a wszystko stanie się po ich woli...

Uspokoiwszy kłamliwemi obietnicami łatwowiernych wieśniaków — odjechał i... już nigdy nie pokazał się więcej.

— Trzeba sobie radzić — mówili. — Nim nadeślą nam pomoc... urzędniki. Jutro pojedziewa do miasta i pokupiewa co potrzeba...

— Do miasta i to najbliższego jest bardzo daleko — tłomaczyli inni.

— Choćbyśmy tam i sto razy jeździli, to chaty nie przywieziemy...

— Oj, prawda, prawda!... trza ją wystawić, ale jak?... kiedy?...

Noc się zbliżała. Rozpalili ogniska. Kobiety zajęły się wieczerzą, a mężczyźni szukali miejsca na spoczynek.

Nagle rozległ się przeraźliwy ryk — zawtórował mu drugi, trzeci, a wkrótce cały bór okropnym, mrożącym krew w żyłach napełnił się rykiem.

— Tatusiu!.. matulu!.. olaboga!., tak nam straszno!.. — krzyczały, płacząc dzieciaki, nie rozumiejąc grozy położenia i tuliły się do rodziców, którzy drżeli i bledli z obawy, lecz milczeli, niechcąc trwożyć dzieci.

— O, Boże! — wołała Hanka i Wawrzuś — to pewnikiem *wilki* i *niedźwiedzie...*

— Tu tych bestyj nie ma, ino inne, straszniejsze, co także ludzi pożerają — objaśniał więcej rozumiejący wieśniak.

— Jaka to noc będzie nasza?

— Jakie to życie?..

Na szczęście przeraźliwa muzyka leśna ustała, tylko bór szumiał, jak gdyby drzewa wiodły z sobą jakiś tajemniczy rozhowor.

Obok ogniska spali wszyscy. Z rzeczy ułożono wysoki wał, dwóch ludzi z bronią w ręku — czuwało, niektórzy spali na drzewach, nie przypuszczając niebezpieczeństwa, jakie mogło ich spotkać od węża lub małpy, jakich pełno tam w lasach.

Na drugi dzień zaczęli się rozpatrywać po lesie. Takiego lasu nikt nie widział. Olbrzymie najrozmaitsze drzewa, połączone z sobą lianami i różnemi roślinami czepiającemi się, co wszystko tworzy jakoby wielką utkaną ścianę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

32) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

— —

(Ciąg dalszy.)

— O, najdroższa żono moja! — rzekł cicho, — nareszcie usłyszałem od ciebie te gorąco upragnione słowa! Nie śmiem wierzyć memu szczęściu! Więc kochasz mnie doprawdy i nie myślisz już o owym — Maksymilianie Kronau?

— Kocham cię i nie myślę o nim. Ale wracajmy prędko do domu!

Głos Felicyi nie zadrżał, gdy wymawiała to kłamstwo. Wszakże chodziło tu o życie Maksymiliana!

— I ty zostaniesz ze mną w naszym domku w ogrodzie? — zapytał Ramiro, tknięty nagle dziwnem jakiemś przeczuciem.

Pospiech Felicyi wydawał mu się trochę podejrzanym.

Felicya zbladła, miała przecież oadzić jeszcze Stanisława i jego żołnierzy!

— Ja przyjdę zaraz — szepnęła — zaraz, tylko.....

— Jakto, ja mam wracać sam, a ty chcesz tu zostać?

— O, miej tylko zaufanie do mnie, Ramiro, — chodzi mi tylko o kilka minut.....

— Co to ma znaczyć? — krzyknął. — Oszukujesz mnie! Po co chcesz tu zostać?

— Mam święty obowiązek do spełnienia!

— Jaki?

— Obowiązek Austryaczki!

— Dziwny patryotyzm! Zkąd ci to nagle na myśl przyszło?

— Ramiro, — zawołała, wyciągając błagalnie ręce, — ty wiesz że jestem Austryaczką, że długo służyłam wiernie cesarzowej Elżbiecie, i chociaż wyrządzono mi taką okrutną krzywdę, to ja mej ojczyzny kochać nie przestałam! Wiem — nie pytaj zkąd, że tej nocy mają być wszyscy żołnierze austryaccy wymordowani, i temu chcę przeszkodzić! Jeżeli nie zdołam ich ocalić — to umrę z nimi. Ale cóż to? słyszę już wrzawę, krzyki — o Boże — puść mnie Ramiro — ja muszę iść do nich, ratować — puść mnie!

Ale Ramiro trzymał jej ręce i szarpał nią, jak listkiem, w szalonej wściekłości.

Blada jego twarz była strasznie wykrzywiona, a z czarnych oczu sypały się iskry.

— Oh, zdradziecka, fałszywa kobieto, — szeptał ochrypłym głosem — zdradziłaś mnie, skłamałaś — aby uratować życie memu nieprzyjacielowi! Chcesz ocalić Austryaków? Za późno! Za późno. Te krzyki, które słyszysz, to jęki i krzyki umierających żołnierzy!

— Mordercy! krzyknęła Felicya, — a ty jesteś ich wspólnikiem! Zrzuciłeś teraz maskę z siebie, wiem, że nie jesteś uczciwym człowiekiem i ja — gardzę tobą!

Ramiro, nieprzytomny z szalonego gniewu, popchnął Felicyą tak gwałtownie, że nieszczęśliwa głową naprzód spadła ze schodów.

— Zabiłem ją! — krzyknął. — Zabiłem jedyną istotę, którą na świecie kochałem! Felicyo!

I drżąc jak w febrze zbiegł ze schodów, i patrzał na bladą, nieruchomą twarz żony.

Ale wkrótce uśmiechnął się zadowolony.

— Ona żyje! Nie umarła, — Tem lepiej, będę miał teraz dosyć czasu na zabicie mego wroga! Potem zaniosę ją do domu, a gdy odzyska przytomność, nie będzie we wsi żadnego żyjącego Austryaka!

I zostawiając Felicyą zemdloną, udał się znowu na górę, do pokoju Stanisława.

ROZDZIAŁ XLVIII

Krzyż i półksiężyc.

Gdy Maksymilian rozstał się z Felicyą, pobiegł czemprędzej ku stodole, i ukrył się tu za stosem drobno porąbanego drzewa. Ujrzał też leżącą jeszcze świeżo, wyostrzoną siekierę, którą parobcy zapewne drzewo rąbali, ale nie wziął jej, mając rewolwer przy sobie.

Ukryty za drzewem oczekiwał przybycia Vrany.

Postanowił jednak strzelać tylko w ostatecznym razie, ponieważ strzał w nocy wywołuje zawsze wielkie zamieszanie — może uda mu się związać Vranę tak, jak związał małego Luigi w ogrodowym domku!

Za stosem drzewa znalazł kilka kawałów mocnego powroza, miał więc już wszystko, czego mu było potrzeba!

Gdyby tylko zdołał najpierw ubezwładnić sołtysa! Jeżeli stodoła nie zacznie się palić, to żołnierzom nie grozi żadne niebezpieczeństwo! Związanego przestępcę zawlókłby wtedy do pokoju Stanisława i tam zmusiłby go do wyznania zdradzieckich zamiarów!

Takie plany układał Maksymiljan!

Na przybycie Vrany nie potrzebował zresztą długo czekać.

Od strony domu dały się słyszeć ciche, ostrożne stąpania, i zaraz potem ujrzał Maksymilian zbliżającego się sołtysa. O ile ciemność na to pozwalałał, dojrzał w jego rękach jakąś masę, która zapewne nie była niczem innem, jak pakułami, nasiąkłemi spirytusem lub naftą.

Serce Maksymiliana biło, jak młot. I już podniósł rękę, aby rostrzaskać głowę zdrajcy, gdy przyszło mu na myśl, że to ojciec córki, która w razie jego śmierci zostanie sierotą i samą na świecie.

I wsunął rewolwer do kieszeni.

Vrana tymczasem wydobył pudełko zapałek, potarł jednę — ale zanim zdążył przyłożyć ją do pakuł, uczuł się z tyłu pochwycony silnemi rękami, i w następnej chwili został powalony na ziemię.

Maksymilian przyklęknął mu na piersiach.

Był to napad szybki i niespodziewany, że Vrana wcale nie mógł pojąć, co się właśnie stało. Z szeroko otwartemi z przerażenia oczami leżał, jak kłoda drzewa, i patrzał w twarz swego przeciwnika.

Maksymilian przyłożył mu rewolwer do czoła.

— Zdrajco podły, — zawołał groźnie, — przysiągłeś nam gościnność i, tak jej dotrzymujesz? Ale twoje zamiary nie spełnią się, żaden żołnierz austryacki nie zostanie tu dziś zamordowanym!

Straszne przekleństwo było odpowiedzią Vrany.

— Mógłbym cię zastrzelić, jak psa, — mówił Maksymilian dalej, — ale to robota kata! Nie chcę sobie walać rąk krwią zdrajcy! Zwiążę cię teraz, i zawlokę przed oficera, którego również chciałeś zamordować! Zobaczysz co on ci powie! Ale — na Boga — co to?

W tej samej chwili padł cień jakiś obok Maksymiliana — silne uderzenie w rękę, i rewolwer leżał na ziemi.

— Brawo, mój chłopcze, — zawołał Vrana. — To ci się udało, Luigi, przyłóż prędko broń do głowy tego przeklętego Austryaka i zastrzel go. Ja go potrzymam!

Luigi związany w ogrodowym domku, zesunął się z kanapy, i posuwając ciało, cal po calu, zdołał się dowlec do pieca, przy którym leżała mała ostra siekierka. Tu znowu wyprężał się i zginał tak dalece, dopóki mu się udało oprzeć ręce na siekierce i wtedy rozcięcie sznurów nie sprawiało mu już żadnej trudności. Kilka pociągnięć i sznury z rąk opadły, a reszta była dziełem kilku minut. I tym sposobem znalazł on się tu w chwili, w której Maksymilian chciał związać sołtysa.

Luigi poznał z radością, że może się teraz pomścić na Maksymilianie. Rzuciwszy się na ziemię, przyczołgał się do niego, i uderzył go tak silnie w rękę, że rewolwer upadł na ziemię.

Maksymilian widział, że jest zgubionym. Nie miał on drugiej broni — a Luigi podnosił już rękę, aby mu strzałem zmiażdżyć głowę .

— Strzelaj! — krzyknął Vrana. — Dostaniesz najpiękniejszy dom we wsi! Strzelaj!

Maksymilian chciał wstać, rzucić się na chłopca, ale Vrana trzymał go, jak w kleszczach.

— Nie zwiążesz mnie pan po raz drugi, — mówił Luigi z szyderczym uśmiechem, — teraz kolej na mnie! Cieszę się ,że mogę strzelić!

Po tych słowach nacisnął sprężynę, ale — strzał nie padł.

Luigi próbował raz drugi i trzeci, i wszystko daremnie.

Patrony znajdowały się w rewolwerze, ale były wilgotne!

Maksymilian przypomniał sobie teraz, że maszerując do Treskavicy, musieli przechodzić dosyć głębokie jezioro, i że zapomniał wyjąć rewolweru z kieszeni. Że zaś woda sięgała aż do pasa, przeto patrony zmokły.

To mu uratowało życie!

Vrana klął straszliwie, i trzymając ciągle swego przeciwnika, zwrócił się znowu do chłopca.

— Słuchaj, Luigi, — rzekł, — rzuć rewolwer! Weź te pakuły, które tam leżą, zapal je, i wrzuć do stodoły. Potem zamknij ją i uciekaj!

Luigi schwycił pakuły i zapałki i zniknął w stodole.

Maksymilian rwał się jak szalony, ale chociaż sam silny i zręczny, nie mógł się równać z olbrzymim Bośniakiem. Serce przestawało mu bić z śmiertelnej trwogi.

— Teraz jesteście zgubieni, — szydził Vrana, — i chociażbyś mnie zabił w tej chwili, chociażbyście mnie jutro powiesić kazali, to nie wskrzesicie wszystkich żołnierzy, którzy tu dziś zginą!

— Litości! Ratunku! — wołał Maksymilian z rozpaczą. — Jesteśmy zdradzeni! Chcą nas mordować! Ratunku!

— Za późno! — krzyknął Vrana. —Luigi wraca, wypełnił moje polecenie!

— Stodoła pali się! — rzekł Luigi z tryumfem.

— Dobrze, mój chłopcze, dobrze! Ach, żebyś ty znalazł jaką broń, którą byś mógł rozbić głowę temu Austryakowi! — Dałbym ci pełne garści złota!

— Broń! Ach — tam leży siekiera! — krzyknął Luigi.

— Siekiera! Że też mogłem o niej zapomnieć. — rozśmiał się sołtys. — A przecież sam ją ostrzyłem! Weź ją i rozpłataj mu głowę! Spiesz się Luigi! Podnieś ją wysoko i spuść ostrzem na czaszkę przeklętego wroga!

Maksymilian zamknął oczy ,i oczekiwał śmiertelnego ciosu — teraz nic go już ocalić nie mogło!

Z szatańskim istnie uśmiechem podniósł Luigi broń morderczą i —

W tejże chwili dał się słyszeć tentent kopyt końskich, szczęk broni i hymn narodowy austryacki zabrzmiał w ciszy nocnej.

— Wojsko! Austryacy! Uciekaj! — krzyknął Vrana.

Luigi nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć. Siekiera z brzękiem upadła na ziemię, a chłopiec znikł, jak gdyby go ziemia pochłonęła.

— Wszystko stracone! — jęknął Vrana. — Bośnia nie będzie wolną!

Maksymilian zdołał się teraz nareszcie oswobodzić z żelaznego uścisku i związał szybko zdrajcę, który wcale już o obronie nie myślał. Teraz było mu wszystko obojętne!

Całe to zajście ledwie kilka trwało minut.

Maksymilian przetarł oczy. Czy to sen? Przed chwilą blizki śmierci, a teraz wróg jego bezsilny — i związany.

Wojsko zbliżało się tymczasem szybko, i zaraz potem stanął przed Maksymilianem młody pułkownik, w świetnym, błyszczącym mundurze.

— Poznajesz mnie, podoficerze Dorn? — zapytał.

— Tak jest! Pan pułkownik Frascati!

— Co to wszystko znaczy? Ta paląca się stodoła, ten Bośniak związany — co to jest? Generał Filipowicz otrzymał wiadomość, że mieszkańcy tej wsi bardzo są niebezpieczni — czy to prawda?

— Tak! Ten związany Bośniak, sołtys wsi, jest zdrajcą, który podpaleniem stodoły chciał dać znak mieszkańcom wymordowania wszystkich żołnierzy!

— Bierzcie go! — zawołał Frascati. — Ugaście ten ogień — ale nie warto, stodoła zapada się już do środka.

— Gdzie jest hrabia Kosiński?

— Nie wiem, co się z nim w tej chwili dzieje, — rzekł Maksymilian z ciężkiem westchnieniem. Obawiam się, że napadnięto go podczas kiedy ja tu byłem zajęty!

— Gdzie jest jego pokój?

— Tam na górze!

— Za mną! — krzyknął pułkownik do swych żołnierzy. — Biegnijmy ratować hrabiego!

* * *

Gdy Stanisław uczuł zimno pistoletu na czole, myślał, że nadeszła ostatnia jego godzina.

— Chcesz ocalić twoje życie? — szepnął teraz Ramiro, przytłumionym głosem.

— Dziwne pytanie! Naturalnie! — odrzekł Stanisław śmiało.

— Więc powiedz mi, gdzie jest Maksymilian Dorn?

— Szukaj go pan! Może go znajdziesz!

— Bezczelny! Ja cię nauczę inaczej rozmawiać ze mną! Umieraj!

W tej chwili udało się Stanisławowi odskoczyć na stronę — ale strzał padł, i z głuchym jękiem upadł młody oficer na ziemię.

— To pierwszy! — krzyknął Ramiro, wybiegając z pokoju.

Na dole leżała zawsze jeszcze Felicya nieprzytomna, Ramiro schylił się, porwał ją w ramiona, i nie oglądając się już, pędził z nią jak szalony do domu w ogrodzie.

Luigi, drżący ze strachu, siedział skulony na progu.

— Ty tutaj? — zawołał Ramiro. — Co się stało?

— Wojsko przyszło! Austryacy! Słyszysz pan tę wrzawę? Musimy uciekać, panie hrabio!

— Pilnuj hrabiny, — krzyknął Ramiro, składając Felicyą ostrożnie na ziemi.

Potem wpadł do pokoju, zabrał pieniądze i kosztowności, i wrzuciwszy wszystko w dwa małe kuferki, wręczył je chłopcu.

Felicya tymczasem odzyskała przytomność i zdumiona, spojrzała w około. Nie mogła w pierwszej chwili pojąć gdzie jest i co znaczy odgłos trąb i bębnów we wsi!

Ale nagle uderzyła jej łuna w oczy i teraz przypomniała sobie wszystko.

— Morderstwo! — krzyknęła, zrywając się. — Tam mordują żołnierzy austryackich — ja chcę umrzeć z nimi.

— Nie, ty pójdziesz ze mną!

Ramiro objął ją silnie, i biedna musiała iść, tam, gdzie on chciał!

— Dokąd mnie prowadzisz? — zawołała, gdy minąwszy ogród, znaleźli się na polu. — Nie chcę iść z tobą! Puść mnie! Umrę z Austryakami! Chcę umrzeć!

— Szalona! Ty żyć musisz dla mnie! Niech wszyscy giną, niech się cała wieś spali, bylebyś ty żyła!

Felicya milczała.

Na brzegu rzeki Narento, ukryta w zaroślach, znajdowała się mała łódka. Ramiro wyciągnął ją, wsadził Felicyą, chłopca z kuferkami, i kilku silnemi uderzeniami wioseł wypłynął na środek.

— Wolę tu zginąć, — szepnął, niż wpadnąć w ręce Austryaków.

Ciemność nocy rozjaśniała łuna palącej się stodoły!

Naomi, czekała długo na Stanisława, a gdy nie przychodził, pobiegła zaniepokojona do domu, aby zobaczyć, co się z nim stało.

Ale drzwi były zamknięte i klucz nie tkwił w zamku, nie mogła ich więc otworzyć.

— Co ja teraz zrobię? — pomyślała przestraszona, — jeżeli ojciec zobaczy, że mnie nie ma w domu.....

Zimno zaczęło jej dokuczać, wołać zaś nie chciała i nie mogła, nie chcąc narażać ani siebie, ani Stanisława na spotkanie się z ojcem.

— Pójdę do stodoły, — pomyślała, — i tam czekać będę. Może się wszystko lepiej skończy, niż sądziłam!

O zamiarze podpalenia budynku nic nie wiedziała!

I poszła tam, a rzuciwszy się na pęk słomy, zaczęła rozważać nad sobą i nad swoją przyszłością.

Naomi nigdy jeszcze nie kochała!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

20) **Tłomaczyła P. Otrys.**

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

Nina stała się nieco dziwną w ostatnim czasie. Uważałem, że patrzała często na mnie badawczo, że się niepokoiła, i raz była nadzwyczaj ożywioną, raz milczącą i zamyśloną. Jeżeli sumienie się w niej odzywało — tem lepiej — może też męczyło ją podobieństwo pomiędzy Fabiem a mną.

Odwiedzałem ją często i nie potrzebowałem się już lękać starego Jana — od czasu, gdy Gwidon rzucił go na ziemię, był starzec sparaliżowany i leżał ciągle, nie mogąc się ruszyć! Assunta pielęgnowała go troskliwie.

Nina wezwała jego krewnych, aby go zabrali.

— Co ja mam z nim robić! — rzekła, — on i tak już służby pełnić nie może!

— Bardzo słusznie, — potwierdziłem. — Wypędź go! Cóż ztąd, że tak długo wiernie służył! Niech ginie!

Krewnym jego dałem kilka tysięcy franków, aby się nim zajęli, ale Nina nic o tem nie wiedziała!

Kilka razy byłem też w grobowcu. Znalazłem klucz do niego w bibliotece w willi, i zabrałem go sobie. Był on mi potrzebny, bo wejście Carmela zamurowałem mocno.

Raz spotkałem na ulicy Andrzeja Luziani, kapitana statku. Gdy mnie ujrzał, przybiegł natychmiast i powitał z nieklamaną radością.

— Dobry wieczór Ekscellencyo! — wołał rozpromieniony. — Słyszałem, że pan hrabia się żeni! Winszuję, winszuję z całego serca!

— Zmieniłem się bardzo od czasu naszej podróży do Palermo? — zapytałełm.

— No, trochę!

— Zestarzałem się?

— Cokolwiek!

— Możesz pan iść ze mną? Potrzebuję twej pomocy w bardzo ważnej dla mnie sprawie!

— Bardzo chętnie!

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

— Przypominasz pan sobie Carmela Neri? — zapytałem, gdy weszliśmy na cichą, boczną uliczkę.

— Naturalnie! — zawołał. — Biedny człowiek! Niebezpieczny — ale serce złote! Pokutuje na galerach! Zasłużył na nie, wiem jednak, że jest na świecie dużo ludzi gorszych od niego!

— Widziałem go w Palermo i rozmawiałem z nim. Kazał panu powiedzieć, że Teresa sama odebrała sobie życie.

— Domyślałem się tego! Biedna! Takie to było małe, drobne i delikatne! Że miała tyle siły, aby sztylet wbić sobie w serce! Kochała ona bardzo Carmela.

— Pomógłbyś mu pan do ucieczki, gdyby to było możliwem?

— Nie, teraz już nie! Prawo jest prawem, a ja byłbym ostatnim, któryby je przestąpił. Carmelo musi znieść karę, która jest ciężką, ale — słuszną. Gdy chodziło o Teresę, to była inna rzecz, ale teraz nie można mu pomódz!

Pomimo tych zapewnień wiedziałem, że ucieczka Carmela nie jest niemożliwą, i że statek kapitana ważną by w danym razie odegrał rolę.

— Masz pan zawsze jeszcze „Laurę“ spytałem.

— Tak, dzięki Bogu! Statek odnowiony i odświeżony, wygląda bardzo ładnie!

— Jeden z moich krewnych, — rzekłem, — znajduje się w przykrem położeniu, i chce Neapol potajemnie opuścić. Chciałbyś mu pan pomódz? Proszę wyznaczyć cenę!

Luziani milczał.

— Sądy nie mają nic z tem do czynienia, — uspokoiłem go, — to sprawy familijne!

— W takim razie zgadzam się na wszystko! Dokąd krewny pana hrabiego chce jechać?

— Do Civita Vecchia — tam znajdzie okręt jaki, którym dalej pojedzie!

— To daleko! Pora w roku nie korzystna, wiatr nieobliczony! — zawołał Luziani z żalem. — Pomimo najszczerszej chęci nie mogę panu hrabiemu służyć! Ale znam kogoś innego.....

— Kogóż to?

— Pewien kapitan — mający wielki parowiec towarowy, jedzie w Piątek rano do Civita Vecchia!

— Bardzo dobrze!

— Parowiec wiezie wino. Kapitan jest bardzo dobrym człowiekiem, ale — chciwym na pieniądze! Ile mu dasz, panie hrabio?

— Dwa tysiące franków!

— Ależ to majątek! Jaka szkoda, że ja tego zarobić nie mogę!

— I pan nie masz wyjść z próżnemi rękami, — rzekłem, podając mu tysiąc frankowy banknot. — Ofiaruj pan to swej matce, w mojem imieniu! O odpowiedź kapitana proszę do mego hotelu, im prędzej, tem lepiej.

Po serdecznych z jego strony podziękowaniach rozstaliśmy się, i ja pospieszyłem do domu, aby się wybrać z Niną i kilku znajomymi do teatru.

Nina wyglądała dziś zachwycającą i bawiła się doskonale.

Komedya była niezła — treść jej — oszukiwany małżonek.

— Podobała ci się sztuka? — zapytałem Niny po skończonem przedstawieniu.

— Bardzo, ten mąż niezmiernie był śmieszny! — odrzekła wesoło.

— Mężowie zawsze są śmieszni! Małżeństwo — to komedya — za kilka dni będę w niej główną odgrywał rolę!

— Nina spojrzała na mnie przestraszona, ale ja śmiałem się i byłem zupełnie swobodny.

Potem pomogłem jej wsiąść do karety i zawołałem głośno:

— Dobranoc, najdroższa!

Przyszedłszy do domu, udałem się natychmiast na spoczynek i spałem mocno całą noc, bez przebudzenia się. A potrzebowałem sił na to, co zamierzałem uczynić!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

— Cały świat przychodzi do tego, kto umie czekać. — powiedział Napoleon Wielki, kładąc główny nacisk na słowa: „kto umie!“

Ja czekałem, i mój świat — świat zemsty przyszedł też nareszcie do mnie!

Było to w przeddzień mego ślubu — mego powtórnego ślubu z moją żoną! Wszystko było przygotowane do świetnej uroczystości, bo chociaż ślub sam miał się odbyć cicho, w gronie najbliższych tylko znajomych, to wieczorem urządzałem bal, jakiego nikt jeszcze w Neapolu nie pamiętał! Nie szczędziłem ani kosztów, ani zabiegów, aby bal był świetnym w całem znaczeniu tego słowa.

I tak nadszedł ostatni dzień......

Siedziałem z Niną w salonie w willi Romani i rozmawiałem z nią o jutrzejszej uroczystości. Nina była wesoła jak dziecko i układała najrozmaitsze plany, ja patrzałem na nią od czasu do czasu tak, jak patrzy tygrys na upragnioną zdobycz. Dobrze, że okulary zakrywały moje oczy!

— Jak to dobrze być bogatym, — mówiła Nina. — Wydajesz mi się, jak książę z baśni! Urządzasz wszystko z niezwykłym przepychem! Nie ma jednak nic piękniejszego w świecie, jak pieniądze!

— Oprócz miłości!

— Tak! Miłość i pieniądze — to raj na ziemi!

— Nie warto już nawet starać się o niebo! Chcesz mi zamienić ziemię na raj, Nino? Będziesz mnie kochać tak, jak kochałaś Fabia?

Nina zmarszczyła białe czoło.

— Czemu ty tak często wspominasz Fabia, — zapytała rozgniewana. — Wieczne wspominanie jego imienia już

mnie znudziło — nie lubię mówić o umarłych! Powiadałam ci już zresztą kilka razy, że go wcale nie kochałam. Przyzwyczaiłam się do niego i przeraziłam się okropnie, gdy ów mnich oznajmił mi o jego śmierci. Siedziałam właśnie z Gwi— z panem Ferrari przy śniadaniu. Zlękłam się doprawdy, ale serce mi nie pękło z rozpaczy! I serce to należy teraz wyłącznie do ciebie......

— Doprawdy? — zapytałem, całując jej rękę. — jesteś tego zupełnie pewną?

— Jak się dziwnie pytasz! Chciałabym ci dowieść prawdy moich słów, ale w jaki sposób?

— Czy kochasz mnie dla mnie samego, czy dla moich pieniędzy? — zapytałem poważnie.

— Ciebie! Ciebie! — zawołała z uczuciem, — ciebie kocham! Czy myślisz, że serce moje kupić można?

— Za tę odpowiedź muszę cię wynagrodzić, — rzekłem z uśmiechem. — Przypominasz sobie klejnoty, które ci posłałem, zanim się osobiście poznaliśmy?

— Czy pamiętam? Wszakże to klejnoty godne królowej! Nie widziałam piękniejszych!

— Posiadam jeszcze więcej takich a nawet i piękniejszych!

Oczy Niny zabłysły chciwością.

— Pokaż mi je! — pokaż mi je. To musi być coś bajecznego. I chcesz mi je dać?

— Wszystkie! Są tam rubiny czerwone jak krew, brylanty tak błyszczące, jak ostrze sztyletu, szafiry, perły tak czyste jak niewinne rączki martwego dziecka i opale o tak zmiennym blasku, jak zmienną jest miłość kobiety.

— Przestań już Cezary!

— Nie podobają ci się moje porównania? Nie jestem poetą i mówię tak, jak myślę. Wszystkie te skarby będą twoją własnością, potrzebujesz tylko rękę po nie wyciągnąć!

— Więc będę miała najpiękniejsze klejnoty w Neapolu, — zawołała uradowana. — Gdzie one są? kiedy zobaczę je? Czy dziś jeszcze?

— Nie, jutro, w czasie balu! Chciałaś mnie widzieć bez okularów, nieprawda?

— Tak!

— Obawiam się, że doznasz rozczarowania, bo moje oczy wcale nie są piękne!

— To nic nie szkodzi, bylebym je widziała! Pokój może być przyciemniony, to cię blask światła razić nie będzie.

— Zgoda! Ale wracając do klejnotów — możesz więc wybrać sobie najpiękniejsze ile i jakie chcesz! Jeżeli pójdziesz ze mną jutro w czasie balu, to ci pokażę, gdzie je schowałem!

— Więc je tak troskliwie ukrywasz?

— Zapewne — nie dowierzam co do tego żadnemu bankierowi. Są to drogie kamienie bajecznej wartości! Ofiaruję ci je wszystkie jako ślubny podarunek!

Nina przytuliła się do mnie i pocałowała mnie czule. Drżałem ze wstrętu pod dotknięciem jej ust, a jednak pocałunki jej paliły mnie jak ogień.

— Jakiś ty dobry! — Szlachetny, wspaniałomyślny, dzielny tylko jedno chciałabym.....

Tu umilkła i z widocznem przerażeniem spojrzała na mnie.

— Cóż takiego życzysz sobie? — zapytałem.

— Abyś mi tak często nie przypominał Fabia, — zawołała gwałtownie. — Każdy twój ruch przywołuje mi go na pamięć, głos.......

— Bardzo mi to przykro, — szepnąłem. — Raz przypominają ci moje ręce Fabia, raz głos i ruchy..... Gotowaś nareszcie pomyśleć, że ja jestem Fabiem!

— Widzę, że jestem nierozsądną i nerwową! Opowiadaj mi lepiej o klejnotach! Więc kiedy mi je pokażesz?

— Jutro na wieczór. Wyjdziemy potajemnie z sali podczas balu, i wrócimy za pół godziny. Zgadzasz się na to?

— Naturalnie! Ale musimy się spieszyć, bo garderobiana musi jeszcze zapakować ślubną suknią i klejnooty! Wszakże pierwszym pociągiem jedziemy do Rzymu —

— A potem do Paryża!

— Więc do schowania, w którym skarby twoje znajdują się, nie jest daleko?

— Wcale nie!

— Ale czemu nie chcesz mi ich tu przynieść?

— Szkatułka jest zbyt wielką i ciężką

— Ach, nie może być! I mogę sobie zabrać wszystko?

— Wszystko!

— O, jakiś ty dobry! Nikt jeszcze nie był takim dla mnie!

— Ani nawet — Gwidon?

— Ach, Gwidon, —zawołała pogardliwie. — On nie miał prawa do tego! Czasem był mi formalnie wstrętnym. i dobrze zrobiłeś, że jego śmiałość w ten sposób ukarałeś!

— To ona go zabiła, nie ja! Do jakiego stopnia jednak może kobieta być podłą!

— Cieszę się, że zadowoliłem twoje życzenie, ale mnie żal biednego chłopca! Do widzenia teraz, moja droga!

— Czy jutro nie zobaczę cię prędzej, jak w kościele? — zapytała nieśmiało, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Nie. Ale widzę, że masz jeszcze twoją pierwszą ślubną obrączkę. Czy mogę ją wziąść?

— Naturalnie!

Ściągnąłem jej z palca obrączkę, którą jej przed pięciu laty dałem, i schowałem do kieszeni.

Gdy wróciłem do domu, zastałem Andrzeja Luziani.

— Jak pan hrabia wspaniale mieszka, — rzekł, patrząc z podziwem na kosztowne urządzenie. — Ale kto tyle ma pieniędzy, ten może sobie wszystko kupić!

— Wszystko, tylko nie serce!

— Tak, to prawda!

— A pan nie myśli o ożenieniu się? — zapytałem.

— Myśleć — może! Znam pewną młodą dziewczynę — moja matka bardzo ją też lubi — mała to i jasnowłosa istota, jak Teresa — delikatna, wiotka, a przytem silna i wytrwała — prawdziwa żona dla marynarza! Może — może się oboje zdecydujemy......

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

— A jak z naszym interesem? — zapytałem, przerywając mu słodkie marzenia przyszłości.

— To jest — z krewnym pana hrabiego!

— Tak, tak!

— Wszystko gotowe. Mój przyjaciel, kapitan Bardi wypływa w piątek z portu. Zaczeka on choćby z pół godziny na.......

— Na mego krewnego. Bardzo uprzejmie z jego strony, ale mój krewny nie spóźni się ani o minutę! Ale mam jeszcze jednę do pana prośbę!

— Rozkazuj Ekscellencyo!

— To drobnostka! Chciałbyś pan wręczyć torbę podróżną kapitanowi Bardi?

— Z przyjemnością! Czy mogę ją zaraz zabrać z sobą?

— Tak, cieszyłbym się bardzo. Pójdę po nią!

Wyjąłem z zamkniętej szafy torbę, którą zapakowałem bez wiedzy Wincentego. Główną jej zawartością była paczka banknotów — cały majątek, który poprzednio złożyłem u bankiera w Palermo. Były tam jeszcze miliony! Potem włożyłem trochę bielizny, ale torba zupełnie była lekka.

— Jeżeli to wszystko, — rzekł Luziani, — to krewny pana hrabiego nie musi być bogaty!

— Masz pan słuszność, jest to biedny człowiek!

— Stary?

— Nie, ma trzydzieści lat! A to — prezent dla tej małej, jasnowłosej dziewczynki, — rzekłem, podając mu zamkniętą kopertę. Ofiaruj pan jej to na podarunek ślubny odemnie!

Oczy kapitana błysnęły radością.

— Chciałbym panu hrabiemu podziękować, a nie wiem jak! — zawołał. — Nie umiem znaleźć słów na wyrażenie mej niezmiernej wdzięczności!

— Ja nie żądam podziękowania, — rzekłem, i rozstaliśmy się — na zawsze!

Tego samego wieczora jeszcze rozmówiłem się z Wincentym, któremu powiedziałem, że w poślubnej podróży nie potrzebuję służącego. Obraziło to bardzo poczciwego chłopaka, nie patrzał wcale na mnie i utkwiwszy oczy w dywan, słuchał w milczeniu moich słów.

— No, Wincenty, — rzekłem, — jutro zostanie najpiękniejsza kobieta w Neapolu moją żoną!

— Wiem, panie hrabio!

— Moje szczęście jest ci obojętne?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA.

Święto umarłych — ta najpiękniejsza uroczystość, płynąca z duszy zbolałej, — zgromadziło na cmentarzach poznańskich liczne rzesze publiczności, które przy blasku rzęsiście oświetlonych i pięknie przystrojonych grobów, wyprawiały „Dziady“ biednym duszyczkom.

I teatr święcił w Dzień zaduszny swoje „Dziady“ Mickiewicza w układzie Wyspiańskiego nie tylko z wielkim sukcesem artystycznym ale i z materyalnym, bo w obec zapełnionej szczelnie widowni, nawet wobec wyprzedanej orkiestry. Wystawa była świetna, a wdzięczna i przejęta entuzjazmem publiczność wręczyła dyrektorowi, panu Rygerowi, bukiet.

Z rozpoczęciem się jesieni, z nastaniem długich wieczorów, ożywił się w grodzie naszym ruch w Towarzystwach. Między innemi rozpoczęło Towarzystwo im. Mickiewicza bezpłatne wykłady ludowe na sali Bazarowej. Posypały się też odezwy, z których na wyszczególnienie zasługuje odezwa Zarządu Towarzystwa ku zwalczaniu gry hazardowej, wystosowana do naszej młodzieży, „aby wystąpiła energicznie przeciw wszelkim zakusom, powstającym ze strony hazardu i karciarstwa i wszelkiemi sposobami oddziaływała na słabszych kolegów, iżby ten zgubny nałóg nie szerzył się w społeczeństwie naszem i nowych nie zabierał ofiar.“

Oby odezwa nie była głosem wołającego na puszczy Izraela!

A propos owego głosu syna Izraela z puszczy nadmieniam, iż współcześni, na wskroś hakatystyczno-modernistyczni synowie Izraela, a nasi współobywatele, już bez głosu z puszczy nawołują się między sobą sami do agitacyi i świetnie się organizują wobec wyborów komunalnych, przypadających na dzień 20-go bm. Apetyt żydowski nie zadawala się już w trzeciej klasie okręgiem rynkowym, ale chce nawet w swej semickiej bucie zabrać nam naszą dotychczas niezdobytą polską fortecę—*Chwaliszewo*— w zamiarze całkowitego usunięcia Polaków z rady miejskiej, a zatem *caveant consules!*

—ski.

Na ogólnem cmentarzysku....

Na ogólnem cmentarzysku
Grobów szereg długi,
Zgodnie leżą obok siebie
Panowie i sługi

I bogacza i biednego
Jedna ziemia kryje,
Jeden rydel cmentarnika
Mogiły im ryje.

Bogaczowi i biednemu
Pieśń swą wicher śpiewa,
Jednakowo też dla obu
Szumią stare drzewa.

Na bogacza dumnym grobie
Napis wyzłacany,
U biedaka na mogile
Krzyż z drzewa ciosany.

U bogacza wonne kwiaty
Sadzi dłoń troskliwa,
Na mogile ubogiego
Ciernie i pokrzywa.

Gdy na grobach u bogaczy
Płonie lamp tysiące,
Nad mogiłą ubogiego
Swiecą gwiazdy drżące.

A świeci ich tyle, tyle,
Nie do przeliczenia —
Bo te wszystkie łzy wylane
Stwórca w gwiazdy zmienia.

A im więcej los wplótł cierni
W ich niedolę kmiecą —
Tem dziś jaśniej na ich grobach
Owe gwiazdy świecą.

Małgorzata S... z Krakowa.

†

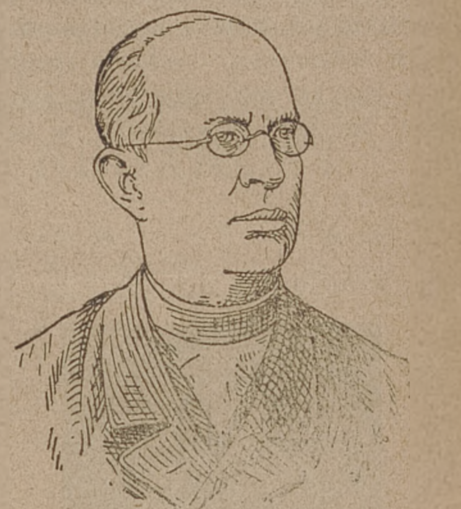
NEKROLOGIA.

S. p. Ksiądz Ignacy Swieży.

Ciężkim ciosem dotknął Pan Bóg braci naszych na *Śląsku austryackim.* Dnia 23-go z. m. umarł tam nagle, tknięty paraliżem, śp. ks. *Ignacy Swieży.* Śląsk stracił jednego z najlepszych swych synów.

Śp. ks. Ignacy Swieży urodził się, jako syn włościan polskich we *Wielkich Kończycach* na Śląsku w roku 1839. Już w młodym wieku odznaczał się gorącem poczuciem narodowem, a patrząc na niedolę ludu polskiego na Śląsku, gnębionego zarówno pod narodowym, jak i ekonomicznym względem przez Niemców, zapragnął gorąco służyć mu radą i czynną pomocą. To też wyświęcony na kapłana, jakkolwiek objął urząd katechety przy niemieckiem gimnazyum cieszyńskiem, wcześnie już zaczął brać udział w ruchu narodowym. Pełen zapału, niezmiernie pracowity, stał się wkrótce jednym z najczynniejszych przywódzców ruchu narodowego tej prastarej Piastowskiej dzielnicy.

Nie było od przeszło ćwierć wieku aż do ostatniej chwili sprawy polskiej na Śląsku, w którejby ś. p. zmarły nie był brał czynnego udziału. On w niemałej mierze przyczynił się do utworzenia Towarzystwa Macierzy szkolnej dla Ślązka, a tem samem do założenia gimnazyum polskiego, on do niedawna stał na czele tej najważniejszej instytucyi ślązkiej. Wiedząc dobrze, że tylko przez oświatę polski lud śląski wyzwolić się może z poniżenia, założył Towarzystwo św. Sarkandra, którego celem było dostarczanie ludowi pouczających książek polskich. —



Ś. p. ksiądz Ignacy Świeży.

Z jego inicyatywy i przy jego współudziale powstało dużo innych pożytecznych instytucyi polskich na Śląsku, on czuwał nad wszystkiem, do wszystkiego rękę przykładał, wszystkiem opiekował się troskliwie a szczerze.

Wybrany w roku 1885 posłem do Rady państwa, przeniósł punkt ciężkości publicznej swej działalności w dziedzinę polityczną, nie zaniedbując bynajmniej swych organizatorskich obowiązków. Przez lat piętnaście bronił praw ludu polskiego w parlamencie z wielkim zasobem odwagi cywilnej, zapału i wiedzy, przez lat piętnaście kołatał tam wytrwale, ażeby wrócono ludowi chociaż część tego, co mu zabrała złość i zawiść wrogów. — Tak samo postępował w Sejmie ślązkim, do którego wybrano go przed 10 laty, a także w Wydziale krajowym, mimo, że tu sam jeden nieraz musiał stawiać czoło przewadze niemieckiej i nie miał

poparcia, jakiego w Radzie państwa udzielało mu Koło polskie.

Jedną z głównych jego zasług jest to, że umiał zawsze utrzymać zgodę i jedność między ludnością polską Śląska austryackiego, mimo różnicy *wyznania*, jaka ją dzieli. Połowa bowiem ludności tej, i to pod względem narodowym najbardziej rozbudzona, jest wyznania *protestanckiego*. Otóż umiał on pokierować sprawami tak, iż także ta ludność mogła swobodnie brać udział w pracy narodowej, że ruchu narodowego nie zakłóciła żadna walka religijna. Tak samo pojednawczo postępował względem *Czechów*, chociaż nowi ludzie w społeczeństwie cieszyńskiem na to się nie godzili.

Dziś gdy zamknął oczy na zawsze, okaże się, że często go zabraknie w walce narodowej. Nowi ludzie muszą dopiero pokazać co zdziałać umieją: księga jego prac i zasług leży otwarta przed nami, jasna, czysta i poczciwa w czynach, które zawiera.

To też zmarłego bojownika o prawa polskie dla Ślązka naród nasz zawsze w wdzięcznej zachowa pamięci, a imię jego po wszystkie czasy jaśnieć będzie między pierwszemi w narodzie.

* * *



S. p. Stanisław Zygmunt Grosman,

budowniczy z Obornik umarł nagle dnia 25-go z. m. Zmarły był dzielnym Polakiem, gorącym patryotą i bardzo gorliwym czytelnikiem oraz zwolennikiem „Pracy,“ to też nie było prawie żadnej sprawy narodowej, do którejby nie przyłożył swej zacnej dłoni. Między innemi był prezesem „Sokoła“ obornickiego, prezesem Kółka rolniczego obornickiego, oraz sprawował przez długie lata urząd sekretarza Komitetu wyborczego na powiat obornicki. Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

Do dzisiejszego numeru dołączamy kwity pocztowe na „Pracę“ na listopad i grudzień, oraz kwity pocztowe na „Czytelnię Polską“ na bieżący kwartał.

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego zanie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

— **Parcelacya.** Firma „Drwęski & Langner“, dom bankowo komisowy w Poznaniu, będzie parcelować majętność Tokarzew w powiecie Ostrzeszowskim (poczta Doruchów, stacya koleji Ostrzeszów i Domanin). Tokarzew — kilka tysięcy mórg obszaru — wśród przepięknych łąk i lasów, malowniczo położony, — z czterema folwarkami, leży nader korzystnie — przy większej wsi i w pobliżu powiatowego miasta Ostrzeszowa a nadto pośród dwóch dworców: Ostrzeszów i Domanin, w czysto polskiej, bardzo uroczej okolicy. Grunta miejskie graniczą bezpośrednio z Tokarzewem. Kościół parafialny — zaraz w sąsiednim Mikorzynie — słynie z licznych pielgrzymek i sławnych odpustów. Do królewskiego gimnazyum w Ostrowie niespełna 30 minut koleją. Tokarzew jest do nabycia w parcelach pojedyńczych już od 5 mórg począwszy, a dalej

1. Wieś rycerska Tokarzew około 1500 mórg i więcej, albo też i mniej w tem 800 mg. ziemi ornej, 200 mg. przepysznych, bardzo wartościowych, trzysiecznych łąk i około 500 mg. ładnego lasu; polowanie jakich mało. Budynki gospodarcze obszerne, prawie zupełnie nowe, murowane i w największym porządku; bardzo liczny doborowy inwentarz; żniwa nader obfite i dotąd jeszcze nienaruszone. Dwór pański, w rodzaju wili z śliczną werandą o 11 pokojach, w bardzo obszernym, rzadko pięknym parku — z przecudnem panorama na stare, cieniste drzewa, przylegające łąki z rozległe lasy. Ziemia urodzajna, zdrowa, żytnia ięczmienna, w starej kulturze; gospodarstwo zasobne i wzorowe. Wskutek obszernych, znakomitych łąk, które uchodzą za najlepsze z całej okolicy, można trzymać liczny inwentarz i już przez to samo dorobić się mienia. Na majątku ciążyć będzie tylko land-

szafta. Zaliczki potrzeba 50 do 60,000 mk. Na wczesne zamówienia przybędą konie do Domanina. 2. Folwark Wygoda, około 800 mg. 3. Folwark Nowy, około 700 mg. 4. Folwark Jadwisin około 400 mg. 5. Gospodarstwo około 150 mg. 6. Trzy gospodarstwa po 50 mg. i więcej lub też i mniej. Każde gospodarstwo z wygodnym domem i kompletnemi budynkami, z całem żniwem i inwentarzem przy dogodnych spłatach. Zaliczki przynajmniej po 500 talarów. 7. Młyn wodny, bardzo korzystnie położony, z niewyczerpaną ilością wody, mogący liczyć na świetne powodzenie, przyczem dostateczna ilość roli, kawał ładnej łąki, troszeczkę lasu i t. d. Zaliczki podług umowy. Zgłaszający się winni podać sumę pieniędzy jaką rozporządzają.

Dalej nabyć też można parcele pojedyńcze od 5 ciu mórg począwszy. Kto chce, może i więcej roli nabyć i to przy małej wpłacie i bardzo dogodnych warunkach, zwłaszcza, że Tokarzew jest większa wieś a we wsi wolno się każdemu osiedlić i pobudować wedle własnego upodobania. Niechaj interesenci przybędą do Tokarzewa celem oględzin. Bliższych informacyi i objaśnień w Tokarzewie udzielą zastępca firmy *Drwęskł & Langner*, oraz właściciel oberzy w Tokarzewie. Natomiast piśmienne zgłoszenia — z podaniem możności wpłaty — należy wprost wysyłać do Poznania do powyżej wzmiankowanej firmy.

Szanownym Czytelnikom, mianowicie z okolic Kępna, Ostrzeszowa, Grabowa, Ostrowa i Odolanowa zwracamy uwagę na odnośne ogłoszenie p. t. „Parcelacya. Majętność Tokarzew".

Niech każdy z Szan. Czytelników zechce zwrócić uwagę gospodarzom w sąsiedztwie i w okolicy zamieszkałym na nadarzającą się sposobność korzystnego nabycia po wyżej wyszczególnionych parcel.

— **Na „Obronę prawną"** nadesłał w dalszym ciągu p. X. Ż. z Gostynia 3 mrk. Razem złożono dotychczas na cel powyższy 35 mrk. Dalsze datki przyjmujemy jak najchętniej.

— **Z teatru.** W sobotę dnia 8-go bm. ukaże się na scenie naszej piękna i pełna humoru komedya, napisana przez znakomitego współczesnego komedyo-pisarza, Kazimierza Zalewskiego, p. t. „Nasi zięciowie".

W niedzielę wieczorem po raz drugi „Nasi zięciowie", a po południu o godzinie 3 po cenach do połowy zniżonych bardzo wesoła i interesująca sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami przez J. K. Galasiewicza p. t. „Ciarachy".

Spodziewamy się, że powyższe utwory sceniczne, oryginalne polskie, bardzo zajmujące, ściągną do teatru liczne rzesze widzów.

Sprawozdanie z „Dziadów" z przyczyn niezależnych od redakcyi damy w przyszłym numerze.

— **Maryanna Płaszczyk**, żona krawca Juliana Płaszczyka z Poznania, odsiadującego kilkomiesięczną karę więzienną za sprawę polityczną, znajduje się ze swemi dziećmi w bardzo opłakanem położeniu i prosi za pośrednictwem naszem Szanownych Czytelników o łaskawą jakąbądź pomoc materyalną; mieszka przy ul. Półwiejskiej nr. 40 IV piętro na przodku.

— **Ślub.** Dnia 21 z. m. pobłogosławiony został w Oporowie w W. Ks. Poznańskiem w miejscowym pięknie przystrojonym kościołku związek małżeński pomiędzy p. Janem Szczeszyńskim, kupcem z Król. Nowejwsi na Górnym Śląsku, a panną Maryą Warzechą, córką nauczyciela z Oporowa. Szczęść Boże młodej parze!

— **Staraniem Koła Pań** „Towarzystwa Szkoły ludowej we Lwowie" wykonano na rocznicę pogromu Grunwaldzkiego biust króla Władysława Jagiełły. Biust ten dłóta Bełtowskiego odznacza się wielkiem podobieństwem i ma prawdziwą wartość artystyczną. Cena popiersia wysokości około 60 cm. wynosi 5 mrk. Dochód czysty przeznaczony jest na „Towarzystwo Szkoły ludowej", instytucyą czynną i ruchliwą bardzo, której przeznaczeniem jest nie tylko krzewić oświatę wśród ludu, ale i bronić kresów przed wynarodowieniem.

— **Września.** W tych dniach otworzyła w mieście naszem rodaczka, pani Senftleben skład szkła, porcelany i wszelkich sprzętów kuchennych. Szczęść Boże!

Ruch w Towarzystwach.

— **Z Nakła.** W niedzielę, dnia 9. listopada r. b., po południu o godz. wpół do 5. odbędzie się wiec „Banku Ludowego" w Nakle na sali p. Biniakowskiego z współudziałem Patrona Spółek Zarobkowych ks. Prałata Wawrzyniaka. Na wiec ten mieszkańców miasta oraz okolicy uprzejmie zaprasza

Zarząd i Rada Nadzorcza „Banku Ludowego" w Nakle.

— **Gołańcz.** W niedzielę, dnia 16-go bm. o godz. 8 wieczorem, urządza tutejsze Towarzystwo śpiewu przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny w sali p. Huebnera. Odegrane będą następujące utwory sceniczne: „Bogata wdowa" i „Chłop milionowy". Przed przedstawieniem odśpiewają członkowie Towarzystwa na cztery męzkie głosy następujące pieśni: „Pamiętne dawne Lechity", „Zaloty na Kujawach" „Choć burza huczy wkoło," a po przedstawieniu „Dobra noc" (kwartet męski), poczem nastąpi zabawa z tańcami. O jak najliczniejszy udział uprasza

Zarząd.

— **Wrocław.** Szanownym członkom Towarzystwa polsko-katolickiego jako i rodakom w Wrocławiu a mianowicie tym, którzy do Wrocławia przybywają, uprzejmie donoszę, że posiedzenia w Towarzystwie naszem odbywają się co niedzielę, począwszy od 1. października aż do 1. kwietnia w Domu Wincentego na 1. piętrze Seminargasse 15., na które Szan. Rodakom zwracam szczególniejszą uwagę.

Następnie donoszę Szan. Rodakom szczerożyczliwym Towarzystwu naszemu o zabawie mającej się odbyć dnia 9 bm. na małej sali Domu Wincentego.

Początek o godz. 6. Wstęp dla członków 50 fen., dla gości 75 fen,

Zarząd. W Chudzicki.

— **Lipsk.** Jak corocznie tak i w ostatnią wigilią rocznicy śmierci Józefa Poniatowskiego Towarzystwo tutejszych przemysłowców polskich uczciło wspaniałym wieńcem pomnik polskiego księcia. Wiele rodaków z Lipska wzięło udział w tym akcie, poczem udali się wszyscy do lokalu Towarzystwa („Bayrische Krone", Rannstetter Steinweg u. Jakobstrasse-Ecke), aby tam wspólnie kilka chwil w poważnym nastroju spędzić.

OD REDAKCYI.

Aptekarzowi w Turyngii. — „W. Preiss Stary Rynek 61"., z odwołaniem się przy zamówieniu serdaków zakopańskich na „Pracę". — Za wyrazy szczerego uznania i podziwu dla całego personału, wchodzącego w skład redakcyi „Pracy", oraz za serdeczne polskie i ozdrowienie z obczyzny dziękujemy najserdeczniej.

Panu A. w Lyonie. — Najuprzejmiej dziękujemy. Buta krzyżacka wszędzie nie ma granic; nasi najserdeczniejsi burmistrzują czy pod Moskalem, czy pod Francuzem, czy też gdzieindziej, jakby u siebie w domu. Snać nie boją się nikogo, tylko Pana Boga, ale „przyjdzie kreska i na Matyska" i nadejdzie czas, że i Matysek płakać będzie, jak mu Pan Bóg strąci rogi!

Pani Stefanii Z. w Poznaniu. — Wiersz p. t. „W dzień zaduszny" doszedł nas za późno już po wydrukowaniu „Działu illustrowanego", zatem nie mogliśmy go zamieścić.

Panu Józefowi L w Herne. — Na druk książki potrzeba dużo pieniędzy, więc nie opłaciłoby się wcale drukować kilku tylko egzemplarzy i to tym więcej, że byłby to tylko „przedruk".

Panu A. D. w Buczu. — Polska taka fabryka nie istnieje, najtaniej może Pan zakupić po cenach fabrycznych u p. K. Kużaja w Poznaniu przy ul. Wrocławskiej nr. 13/14 z odwołaniem się na „Pracę."

Panu B. P. w W. — Życzeniu nie możemy uczynić zadość.

Panu Stefanowi J. w Poznaniu. — Wierszyka p. t. „Poległym i żywym" nie możemy zamieścić ze względów prasowych.

Panu S. J. w Essen. — Kłamstwo, potwarz! Czytaj Pan oświadczenie wydawcy. Co do drugiego punktu, to się Pan zażal, a może też listowy dostał już numer zniszczony?

Panu J. M. w O. — Mamy we własnym kraju tyle biedy, tyle potrzeb, tyle nieszczęścia, także budujące się kościoły oraz kaplice w bardzo biednych parafiach za ofiarność publiczną, że grzechem wielkim byłoby wysyłać pieniądze zagranicę obcym. I w kraju mogą się odbywać msze św. za ofiarodawców, pocóż więc zagranicą szukać obcych związków mszalnych? Nie wysyłaj więc Pan tych pieniędzy Niemcom pod żadnym warunkiem, bo „póki świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem.“ Zresztą w tej sprawie poinformuje Pana najlepiej Redakcya „Przeglądu kościelnego“ w Poznaniu, ul. Seminaryjna 2, do której Pan z całem zaufaniem udać się możesz.

Panu W. C. w Mieszkowie. — Zapisałeś Pan na poczcie, więc upominać się musisz na poczcie względnie zażalić się do dyrekcyi poczty w Poznaniu. My w tej sprawie nic uczynić nie możemy.

Panu W. C. w Odolanowie. — Poczta winna za zaginioną paczkę podług § 6 I prawa pocztowego z dnia 28 Października 1871 wartość jej zapłacić — czy wartość jej podana była lub nie, ale nie więcej jak po 3 mk. za każde 500 gramów (1 funt). Za list, na który była wzięta zaliczka pocztowa, nie jest poczta odpowiedzialną, jeżeli na liście tym wartość nie była podaną.

Humorystyka.

Ciotka pułku.

Krakowiak.

(Wspomnienie z pierwszych dni wrześniowych.

„Tańcowała ryba z rakiem
„I pietruszka z pasternakiem, —
„Cebula się dziwowała,
„Że pietruszka tańcowała!“
. . . .

Na tę nutę „*Gottgieb*“ graje
I otuchy sam dodaje,
A do tańca pary wiedzie
W takt z fujarą idąc w przedzie.

Bo gdy kółkiem się zebrała
Kompanija jego cała,
Więc w karczemce u „*Posnera*“
Niechaj dzwoni piosnka szczera:

„Dana ino — dana! dana!
„Dusza nasza tu dobrana!
„My z „*Gottgiebem*„ — „*Gottgieb*“ [z nami,
„Toć się puścim w taniec sami!“

„*Heinrich*“ wiedzie korowodem,
„*Stacho*“ hardo idzie przodem,
A „*Zygmula*“ z „*Antkiem*“ wkoło
„*Derdydasa*“ rżną wesoło!...

Ale dziewek im nie stało; —
Jedna stara, — to za mało!
Boć i jakoś wstyd przed światem
Tańczyć z dziewką — „*unikatem*“.

Nie łaź „*Maryś*“ do gospody,
Bo spotkają cię zawody; —
Nikt do tańca nie wybiera
Starych pudeł — u „*Posnera!*“

„*Maryś*“ sama wśród wesela; —
Dumne oczko, *samo strzela*
I dziwuje się też szczerze,
Że ją w taniec nikt nie bierze, —

A muzyka brzmi dobrana,
„Hejże hola! — dana! dana!“...
Bez „*Marysi*“ wszystko hula,
„*Heinrich*“ — „*Antek*“ — „*Stach*“— „*Zygmula*“...

Tak się wściekle rozhulała
Kompanija w karczmie cała, —
Tak jej pięknie „*Gottgieb*“ grał
Aż się djabeł w piekle śmiał!

I z „Marychną“ puścił wkoło
Raźno, skoczno a wesoło, —
Chłopcy za nim poszli śmiało —
Że aż w piekle zaszumiało!

„Meine Herren! hejże hola!
„Dalej żwawo! kiedy wola,
„Bo gdzie diabeł rej prowadzi
„Świeczka diabłu, nie zawadzi!...

Niech „*Gottgieby*“ dalej grają, —
Niech do diabła w pary stają! —
My się pono nie zasmucim
I wesoło im zanucim:

„Tańcowała ryba z rakiem
„I pietruszka z pasternakiem,
„A cebula się pytała
„ Czego „*Maryś*“ tutaj chciała?..

„Boć znalazła tam do kata
„Tylko nazwę „*unikata*“
„Sama jedna i jedyna —
„Chociaż stara — zuch dziewczyna.

„Na fujarze jej zagrano, —
„*Hoch!* „*Marysi*“ zaśpiewano!
„Boć już odtąd, — dana! dana!
„*Ciotką pułku*“ tego zwana.

Hoch! śpiewała ryba z rakiem,
„Hoch! pietruszka z pasternakiem
„Hoch! z cebulą łopion grał!
„Aż się w piekle diabeł śmiał!“...

Mefisto.

Tradycyjna gęsina.

Chociaż jeszcze kawałek
Do świętego Marcina,
Kiedy na stół wystąpi
Tradycyjna gęsina,
By jednakże nie przespać
Tak ważnego dnia w roku,
Już dziś Muzie dodaję
Kuchennego obroku
I najmilszym słuchaczkom
Służąc wieszczem natchnieniem,
Kreślę przepis stosowny:
„Gęś pieczona z nadzieniem“.

Gęś pieczona z jabłkami. Ukarmioną weź gąskę, osoliwszy, włóż w środek majeranku gałązkę; jeśli twarda, skrop octem, osyp bułką pierś, brzuszek, w środek pokraj w talarki kilka kwaśnych jabłuszek i na wolnym piecz ogniu, polewając rosołem...

Goście będą, zaręczam, lizać palce za stołem!

Gęś z kapustą lub kaszą. Oczyszczoną starannie nadziej kaszką „na kopsy,“ uprażoną w brytfannie; dodaj grzybków siekanych, gdy sos puści, polewaj. Jeśli wolisz, miast kaszą, kartoflami nadziewaj albo lepiej kapustą, podduszoną na tłusto...

Znakomicie smakuje taka gąska z kapustą.

Gęś z nadzieniem kasztanów. Zrób farsz z bułek na smalcu, wbij trzy jajka surowe, by nie było zakalcu; wlej kieliszek madery, osól, popieprz pod miarę, majeranku daj szczyptę i cebulek daj parę i w to wszystko wmieszawszy funt parzonych kasztanów, nadziej gąskę.

Potrawa, słowo daję, dla panów!

U chorego.

— Wziąłeś pan lekarstwo, com panu zapisał?

— Nie, panie doktorze.

— Dlaczego?

— Bo mi życie jeszcze miłe...

Oswiadczenie.

W numerze 64-ym „Górnoślązaka“ zamieściłem artykuł, który zawierał twierdzenie, że „Katolik“ miał odbierać subwencye od hrabiego Ballestrema jakoteż od innych panów ze stronnictwa Centrum.

Niniejszem przyznaję się chętnie i dobrowolnie, że nie chciałem bynajmniej przez to obwinić, ani też obrazić osobiście naczelnego redaktora „Katolika,“ pana Napieralskiego. Wobec tego oświadczam także niniejszem wyraźnie, że nie poważyłem się ani pana Napieralskiego, a tem mniej byłego redaktora pana Radziejewskiego, ani też panny Radziejewskiej, kiedykolwiek posądzić jakoby odbierali kiedykolwiek jakiebądź subwencye od Centrum albo od hrabiego Ballestrema.

Wyrażam w końcu swój żal, że artykuł wzmiankowany zamieszczony został.

Poznań, w październiku 1902.

Józef Niemierowicz.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate November und Dezember die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,84 M. erhalten zu haben bescheinigt

...., den..

Kaiserl. Post............................

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate November und Dezember die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ____________________________

(Mieszkanie): ____________________________

Obige 0,84 M. erhalten zu haben, bescheinigt

____________________, den ____________________

Kaiserl. Post____________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das laufende Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ____________________________

(Mieszkanie): ____________________________

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

____________________, den____________________

Kaiserl. Post____________

Prosimy odciąć.

2. Folwark Wygoda, około 800 mg., w tem 500 mg. ziemi ornej, 100 mg. doborowych łąk i 200 mg. lasu; bud[illegible]nite, murowane, zupełnie nowe, tuż przy szosie latowej i niedaleko miasta, ładny inwentarz; żniwa dotąd nienaruszone. Zaliczki 30,000 Mk.

3. Folwark Nowy, około 700 mg., w tem 400 mg. ornej ziemi, 50 mg. wybornych łąk i 250 mg. lasu; budynki zupełnie nowe, kompletny inwentarz i całe, bogate żniwa. Zaliczki 20,000 mrk.

4. Folwark Jadwisin, około 400 mg., w tem 200 mg. pod pługiem, 100 mg. pysznych łąk z niewyczerpanym pokładem torfu i 100 mg. lasu, z więce niż dostatecznym inwentarzem i nader zasobnem żniwem. Zaliczki 12,000 mk

5. Gospodarstwo około 150 mg., w tem 80 mg. pod pługiem, 40 mg. świetnych łąk i 30 mg. lasu. Bardzo ładny dom o 6 pokojach w pięknym sadzie, z odpowiednim inwentarzem i z całem żniwem. Zaliczki 6,000 mk.

6. Trzy gospodarstwa po 50 mg. i więcej, lub też i mniej, każde gospodarstwo z wygodnym domem i kompletnemi budynkami, z całem żniwem i inwentarzem przy dogodnych spłatach. Zaliczki przynajmniej po 500 talarów.

7. Młyn wodny, bardzo korzystnie położony, z niewyczerpaną ilością wody, mogący liczyć na świetne powodzenie, przyczem dostateczna ilość roli, kawał ładnej łąki, troszeczkę lasu i. t d.

Zaliczki podług umowy.

☞ Zgłaszający niech podadzą zaraz jaką rozporządzają gotówką. ☜

8. Dalej nabyć też można parcele pojedyńcze od 5-ciu mg. począwszy: kto chce, może i więcej roli nabyć i to przy małej wpłacie i bardzo dogodnych warunkach, zwłaszcza, że Tokarzew jest większa wieś a we wsi wolno się każdemu osiedlić i pobudować wedle własnego upodobania.

Prosimy o wczesne przybycie do Tokarzewa celem oględzin.

Przy osobistych oględzinach udzieli bliższych informacyi i objaśnień tam na miejscu

a: nasz zastępca zamieszkały we dworze Tokarzewie,
oraz
b: właściciel oberzy w Tokarzewie.

Natomiast piśmienne zgłoszenia — z podaniem możności wpłaty — prosimy wysłać wprost do nas do Poznania.

DRWĘSKI & LANGNER

Dom Bankowo-komisowy

ul. Rycerska 38. **w Poznaniu** **Telefon 124**

☞ *Przy zamówieniach o konie prosimy depeszować:* Dominium Tokarzew Doruchow. ☜

Parcelacya.

Nabywszy gospodarstwo od p. Franciszka Banacha w Żegrzu sprzedamy parcelę w Żegrzu samem w całości, a 22 mórg roli pod Goraszewem leżące w mniejszych parcelach po 4 i 5 mórg przy mniejszej wpłacie na wieloletnią spłatę. Reflektanci z Goraszewa, Minikowa i z Starołęki zechcą się zgłosić do

Banku Parcelacyjnego

w Poznaniu ul. Wiktoryi 12. i róg św. Marcina. 800

Hurtownie! Detalicznie!

Farby, pokosty, lakiery,

froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów ect., jako też potrzebne szczotki i pędzle do tychże. Carbolineum koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie. 738

Centralna Drogerya J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek 8.



Telefon nr. 238

Kalendarze kartkowe,
książkowe i ścienne,
książeczki z obrazkami własnego nakładu
poleca
hurtownie i detalicznie
Skład papieru i materyałów piśmiennych
„ATLAS"
W. Kostrzewski.
Poznań, Stary Rynek nr. 48. 808

Dr. Antoni Seyda

POZNAŃ, św. Marcin Nr. 14.

(dawniej Gustav Schaer.)

Farbiarnia parowa i pralnia chemiczna.
Fabryka: Ul. Forteczna nr. 39
(na własnym gruncie),
na Jeżycach, obok Reichsgartenu, gdzie się także zlecenia przyjmuje. 768



Największa nowość!
W państwie niem. co do użycia marka ochronna.

Koncertowy piston — akordeon

w zbudzeniu wszędzie wskutek dokładnej konstrukcyi, bardzo dobrej budowy i taniej ceny wielkie zainteresowanie.

Bez znajomości nut może każdy najładniejsze sztuki do tańca, marsze śpiewy itd. wygrać. Instrument ten ma 28 głosów przy cudownie zadziwiającem towarzyszeniu basu.

Sztuka kosztuje tylko ***3,50 M.***

Szkoła darmo, tuzin 36 mk.

Illustr. pyszne katalogi o cytrach, skrzypcach, harmonikach itd. franko.

E. L. Brückner
Klingenthal i. Sa. (752)

Panienkę

od 15—18 lat liczącą, córkę z porządnej familij i religijno wychowanej poszukuję do restauracyi i pomocy domowej. Reflektanki raczą się zgłosić pod Adresą: 781

Teofil Drozdowski
restauracya i destylacya
w Pile (Schneidemühl)
Nowy Rynek 5

Słabość męzką

skutki szczególn. tajnych grzechów młodości, oraz innych nadużyć, niszczących zdrowie. jak pewno i trwale usunąć, poucza jedynie w licznych wydaniach rozpowszechniona już książka illustrowana 187

Dr. Retau'a
Ochrona własna.

Cena wydania polskiego 1 markę.

Cena wydania niem. 3 mk. Tysiące znalazło w niej objaśnienie swych cierpień, a za użyciem kuracyi w książce tej zaleconej zupełną swą siłę męzką. Za nadesłaniem franko przez Magazyn wydawnictw R. F. Bierey w Lipsku (Verlags-Magazin Leipzig, Neumarkt 21.) W Poznaniu dostać można w księgarni [illegible] Spiro, [illegible]

Na porę obecną polecam
mój jedyny polsko katolicki

skład gotowej garderoby

mezkiej i dla chłopców.
wielki skład sukna,

w razie zamówienia wykonuję szybko, tanio i akuratnie.
Wielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend.

W. MROCZEK, mistrz krawiecki.
Nakło, rynek, narożnik. 754

Darmo

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win

A. Szmytkowski

Pniewy (Pinne, Pr. Posen).
Destylacya i fabryka likierów
poleca po nizkich cenach

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux i na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje jako to znakomite 57
nalewki, wódki gdańskie,
żołądkowe, alpejską,
araki, rumy i franc. koniaki.

Wład. Marcinkowski,

mistrz stolarski
Poznań, ul. Piaskowa nr. 1. parter,
(przystanek kolei elektrycznej)
podejmuje:
wszelkie prace w zakres stolarstwa wchodzące i roboty budowlane.

SPECYALNOŚĆ: 652
urządzenia składowe
PODŁUG NAJNOWSZYCH RYSUNKÓW.

Pierniki

na nadchodzące święta poleca fabryka pierników

A. Markiewicza w Kostrzynie.

Ostatnia nagroda:

Wielki złoty medal na Wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej w Krakowie 1900.

Cenniki na żądanie bezpłatnie i franko.

Do nabycia w cukierniach, handlach cukrów i kolonialnych. 795

Powien młody, pilny mężczyzna 797

poszukuje

od nowego roku za pewnem wynagrodzeniem

zajęcia

w drukarni lub t. p.

Zgłoszenia przysłać pod adresem) G; K. 101 postlagernd. **Brinitz, kr. Oppeln. O/S.**

Kucharz

kawaler, znający się na ogrodnictwie i dobry myśliwy znajdzie miejsce od 1. 1. 1903 r.

Dobieszewice p. Amsee.

Za bardzo nizką cenę z powodu innego przedsiębiorstwa jest **do nabycia każdego czasu** na przedmieściu miasta Poznania

oberża

z kolonialnym składem

salką oraz ogrodem. Oprócz tego komorne przynosi 700 mrk. rocznie.

Agentów się wyklucza.

Zgłoszenia przyjmuje eksp. „Pracy“ pod lit. **Z 779.**

Pewna egzystencya

...jąca od 17 lat i dobrze prosperująca fabryka pump mniejszego rozmiaru połączona z interesem studzien, jest w mieście powiatowem i garnizonowem w Księstwie w pobliżu dworca, wskutek podeszłego wieku obecnego właściciela zaraz do sprzedania. Wpłaty potrzeba 4—5,000 mk. 780

Można także nabyć posiadłość na której interes ów bywa ...wlany z wpłatą 4—6,000 mr.

...skawe oferty pod lit. **S. 400** do eksp. „Pracy.“

Mam w Gnieźnie moją 789

kamienicę z wyszynkiem

z rea...nym konsensem na gruncie, w której się mieszczą

dwa wielkie handle kolonialne

i zamieszkała przez urzędników sądowych wraz z

placem budowlanym

pod korzystnemi warunkami przy małej zaliczce lub na odpłatę zaraz do sprzedania. Położenie korzystne.

Łaskawe zgłoszenia przyjmuje

ANDRZEJ SZERMERSKI

Gniezno, ul. Poznańska 12

Linoleum — Linerusta

Wyprzedaż tapet!

Dla usunięcia większych zapasów wyprzedaje przy końcu sezonu

TAPETY

w ładnych deseniach po znacznie zniżonej cenie.

Wielki wybór resztek na pojedyncze pokoje po nadzwyczaj nizkich cenach.

Antoni Rose.

410

Poznań, Bazar,

Telefon 381.

Dekoracye po...

Dekoracye na okna

Wydawnictwo „Pracy“ w Poznaniu,

ul. Rycerska 38

poleca następujące piękne powieści

po cenie zniżonej, a mianowicie:

1. ***Krwawy Chrzest,*** powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez J. Dzierzkowskiego.

przeszło 300 stron **tylko 75 fen.**

Krwawy Chrzest — to obraz ponury, bo gdzie spojrzysz, tam prawie same mogiły... z których przemawiają dzieje przebrzmiałych zapasów, pełne grozy i rozpaczy; krew serdeczna, szczerze polska, obficie przelana na polu sławy; — na każdej stronnicy przemawia do Ciebie, Czytelniku, to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud kochany i polskiego ducha...

Tu syn chłopa i dziecię senatorskie walczą zarówno o to, co nam najdroższe, najświętsze — o wolność...

I tętni kałakoł pocztowy swym głosem dzikim, tętni coraz dalej a dalej, coraz ciszej i ciszej, niknie kibitka za kibitką w niezliczonym pochodzie — na Sybir...

Przy czytaniu zakręci się łza w oku a z piersi wyrwie się mimowoli jęk bólu, ażali umilknie zupełnie na ziemi naszej dzwon męczeństw narodowych...

2. ***Rodzina — Dom,*** bardzo zajmująca rozprawa społeczno-moralno-naukowa, napisana przez zaszczytnie znaną literatkę, panią Jadwigę Strokową z Łobzowa pod Krakowem.

Cena 40 fen.

3. ***Tajemnicza zbrodnia,*** powieść także kryminalistyczna i t. d., tłómaczona z francuzkiego,

cena tylko 60 fen.

Pieniądze najlepiej przesłać przekazem pocztowym.

Wydawnictwo „Pracy“

(Księgarnia wysyłkowa)

w *Poznaniu (Posen)* Rycerska 38.



Kazimierz Bączkiewicz

pojazdnik

w Poznaniu, ulica Strzelecka nr. 31.

poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres **pojazdnictwa** wchodzących przy *rzetelnej usłudze i cenach umiarkowanych.* 1..

Gotowe pojazdy zawsze na składzie.